**prof. dr Witold Doroszewski (redaktor naczelny), dr Barbara Falińska,  
doc. dr Halina Kurkowska, dr Wanda Pomianowska, doc. dr Andrzej  
Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław Stieber,  
doc. dr Mieczysław Szymczak, prof. dr Witold Taszycki  
Sekretarz redakcji — Stefan Rodkiewicz**

**TREŚĆ NUMERU**

**JANINA WÓJTOWICZ: Mazurzenie a granice plemienne 165**

**MICHAŁ JAWORSKI: Z dziejów nauki o języku polskim w szkole średniej. 2. Dydaktyka nauki o języku w okresie międzywojennym i w Polsce Ludowej 173**

**STANISŁAW ROSPOND: Toponimia czy kaliologia i ornitologia . . . 183**

**ANDRZEJ SIECZKOWSKI: Drobne spostrzeżenia o wymowie naszych**

**spikerów 191**

**RECENZJE**

**ANNA PASOÑ: St. Urbańczyk — Nazwy naszych stolic 195**

**TERESA HOŁÓWKA: Polszczyzna piękna i poprawna 193**

**M. Sz.: Co piszą o języku? 199**

**W. D.: Objaśnienia wyrazów i zwrotów 203**

**Zatwierdzone pismem Ministerstwa Oświaty nr VI Oc-2755/49 z dnia  
30 stycznia 1950 r. jako pożądane w bibliotekach nauczycielskich**

**Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Waszawa, Miodowa 10  
Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica, tel. 26-52-31**

**wewn. 132.**

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE — WARSZAWA, MIODOWA 10

Nakład 2130 (1951 -I- 179). Ark. wyd. 3,5. Ark. druk. 3,0. Papier druk. sat. kl. V, 65 g, 70 X 100. Oddano do składu 27.11.67. Podpisano do druku w kwietniu 1967. Druk ukończono w maju 1967 r.

Zam. 364/67. T-73. Cena zł 6.—

PORADNIK JĘZYKOWY

**MIESIĘCZNIK**

**REDAKCJI SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO (założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)**

*MAZURZENIE A GRANICE PLEMIENNE*

W sporze o dawność mazurzenia niebłahy argument za jego odwiecznością stanowi zgodność niektórych fragmentów izoglosy tego zjawiska z granicami plemiennymi. Tak ujmował tę kwestię K. Nitsch obstając przy pradawnym charakterze mazurzenia: „Wiadomości o mazurzeniu nie sięgają wstecz poza wiek XV, ale nie ma najmniejszego powodu do przypuszczenia, by dopiero wtedy powstało; przeciwnie nie ma nawet dowodu, że prasł. sj zj także na tym obszarze dały pierwotne s z; być może, że jest to już prasłowiańska cecha dialektyczna, że zawsze były tu tylko s z, do których dostosowały się prasłow. č ǯ”[[1]](#footnote-1).

W niniejszym artykule zajmiemy się stosunkiem granicy mazurzenia do wschodniej granicy Małopolski, co może rzucić nam także nieco światła na zagadnienie stosunku granic politycznych do językowych.

Mówiąc o granicach plemiennych powoływał się K. Nitsch na zgodność mazurzenia z wschodnią granicą Wielkopolski a także z wschodnią granicą Małopolski. „Wschodnia granica mazurzenia na polskim obszarze etnograficznym — pisał — także była granicą plemienną, jest bowiem zgodna ze wschodnią granicą pierwotnej Małopolski, tj. granicą między dawnymi województwami sandomierskim i lubelskim a województwami ruskim i bełskim; jasny stąd wniosek, że etnograficzny pas polski, powstały później, nie przed XIV wiekiem, za Wisłokiem i Sanem i nad górnym Wieprzem, zawdzięcza swe niemazurzenie podłożu czy przymieszce ruskiej”.[[2]](#footnote-2) I w innym miejscu: „Wspólność tych granic jest uderzająca, w wielu miejscach idąca aż do szczegółów, w innych tak mało zatarta, że aż dziw bierze, jak słabo się na nich odbiło tych 700 lat między choćby wiekiem XIII a XX.[[3]](#footnote-3)

Z tych i innych fragmentów prac K. Nitscha da się sformułować następujące tezy, przy których autor obstawał:

1. Mazurzenie jest zjawiskiem pradawnym; wschodnia granica mazurzenia jest zbieżna z dawną granicą plemienną przebiegającą we wschodniej Małopolsce.
2. Brak mazurzenia we wschodniej Małopolsce jest spowodowany podłożem lub przymieszką ruską.
3. Gdyby mazurzenie objęło Małopolskę dopiero w XVI wieku, nie stanęłoby właśnie na tej granicy, ponieważ nie była ona już wtedy żywa.

Dwie pierwsze tezy wywołały jak wiadomo, żywą polemikę, a różne głosy dyskusyjne na ten temat znajdujemy zebrane w pracy W. Taszyckiego[[4]](#footnote-4), który wypowiada się tam i przytacza argumenty także w interesującej nas sprawie wschodniej granicy gwar mazurzących i nie mazurzących: ,,... nie ma w tym nic dziwnego, że w niektórych wsiach między Wisłoką a Sanem, dialektyczne cechy mazowieckie wykazujących, nie ma mazurzenia. Najwidoczniej mazowiecka kolonizacja tych okolic jest bardzo stara, wcześniejsza, aniżeli ogarnięcie Mazowsza przez mazurzenie” — pisze Taszycki na s. 181 wspomnianej pracy powołując się w zakresie geografii mazowizmów na pracę Pastuszeńkówny[[5]](#footnote-5). W dalszym ciągu niniejszego artykułu postaramy się wykazać, że geografia mazowizmów nie jest między Wisłą i Sanem niezgodna z zasięgiem mazurzenia, co ma istotne znaczenie dla wyjaśnienia kwestii intrygującej wielu językoznawców, których zastanawiał brak mazurzenia między Sanem i Wisłokiem. Między innymi wypowiadali, się na ten temat J. Łoś[[6]](#footnote-6) i S. Szober[[7]](#footnote-7), których głosy przytacza W. Taszycki we wspomnianej pracy: J. Łoś polemizuje z poglądem K. Nitscha, jakoby brak mazurzenia był na wschodzie wywołany podłożem, czy przymieszką ruską, wykazuje on brak innych systemowych cech języka ukraińskiego we wspomnianych gwarach. S. Szober przypuszcza, że te różnice mogą być spowodowane różnym okresem kolonizacji tych okolic i w tym względzie jest on najbliższy prawdy.

Dzięki wydanej ostatnio pracy F. Persowskiego[[8]](#footnote-8) mamy dziś zebrane poglądy na temat pogranicza polsko-ruskiego, mamy dokładną mapę osadnictwa tych okolic w w. X—XVI. Historycy wypowiadali się na temat sporów o polityczną granicę polsko-ruską na temat interesujących nas podziałów plemiennych Polski i graniczenia elementów polskich i ruskich następująco: „Granica starego obszaru z Rusią... szła ongi (podkr. moje J. W.) od średniego biegu Tanwi do ujścia Wisłoka, dalej zaś puszczą na dziale wód Wisłoka z Sanem. W niewiadomym jednak czasie i okolicznościach uległa przesunięciu ku zachodowi”[[9]](#footnote-9). „Granica między Polską a Rusią Kijowską ustala się (mowa o XI w. — J. W.) ... władztwo ruskie sięga na południe

w dorzecze Sanu... Przedtem mogło to być terytorium plemienne związane z Polską, a granice były tu zawsze jeszcze bardzo płynne.”[[10]](#footnote-10) [[11]](#footnote-11) Tak więc przebieg tej granicy plemiennej „tonie w mroku dziejów” i to zarówno z przyczyn obiektywnych, jak i subiektywnych o czym niżej:

„... ilekroć pióro historyków polskich, rosyjskich, ukraińskich a nawet czeskich rozpoczynało opis wczesnośredniowiecznych dziejów ziem pasa pogranicznego między Polską i Rusią tylekroć niemal zawsze obiektywny spokój tych uczonych przeradzał się w ... chęć zakreślenia dla swej narodowości granic jak najdalej posuniętych w kierunku wschodnim lub zachód nim. Nie brano zaś pod uwagę, że nie powinno się utożsamiać granicy politycznej, państwowej z granicą etniczną...”11

Najmniej mglisty zarys ma omawiana granica w pracach Arnolda[[12]](#footnote-12) na co powołuje się K. Nitsch. Wiadomo jednak, że przyjęty przez Arnolda sposób ustalania granic plemiennych metodą retrogresywną biorącą za punkt wyjścia późniejsze granice administracyjne, polityczne, świeckie oraz kościelne budził zastrzeżenia historyków.[[13]](#footnote-13)

Właściwy S. Arnoldowi sposób rozumowania ilustrują poniższe wywody na temat Ziemi Sandomierskiej: „Z tego czasu (koniec XI w. — J. W.) nie posiadamy... bliższych wiadomości o obszarze, jaki ta dzielnica obejmowała”.[[14]](#footnote-14) Ale dalej niespodziewanie czytamy: „Jak wspomniałem, obszar owej dzielnicy sandomierskiej w w. XI odpowiadał temu, jaki się ustalił później, po podziale kraju przeprowadzonym w 1138”.[[15]](#footnote-15) Wiadomości dotyczące XIII, XIV w. są następujące: „Można przypuszczać tylko... że terytorium sandomierskie obejmowało poza Sandomierzem — cały obszar późnieiszej dzielnicy sandomierskiej z w. XII (t.j. z Lublinem, Wiślicą) ...” i dalej: „Wypadki polityczne w XIII w. nie wiele już wpłynęły na zmianę granic dzielnicy w swych granicach z ok. 1240 r. przetrwała aż do początków XIV w., kiedy... stała się województwem”. Wschodnia granica woj. sandomierskiego jest określona następująco: „Na wschodzie dzielnica sandomierska graniczyła z księstwem ruskim tutaj zresztą granica polityczna nie uległa większym zmianom w ciągu wieków średnich, tak, że, odpowia-

dała ona mniej więcej granicy wschodniej późniejszego województwa lubelskiego (od. w. XV)”.[[16]](#footnote-16)

Możemy wszakże powiedzieć, że od przebiegu granicy politycznej od wahań i przesunięć, których dzieje dostarczyły nam niemało, bardziej nas interesuje przebieg granicy etnicznej, zwłaszcza, że jak ostrzega historyk”... nie powinno się utożsamiać granicy politycznej z granicą etniczną, narodowościową”.[[17]](#footnote-17) W innym miejscu znajdziemy to jeszcze ostrzej sformułowane: „... „mitem” stało się... przekonanie, że w wieku X granica etniczna i polityczna polsko-ruska nie mogły być różne”.[[18]](#footnote-18) Poszukiwania wypowiedzi historyków jednoznacznie określających etniczny charakter pogranicza nie przynoszą nadzwyczajnych rezultatów. „Niewątpliwe lecz trudne do ścisłego ujęcia — uskarża się historyk — są zmiany narodowościowe na wschodzie Polski. Wiemy, że chwiejny przez całe średniowiecze był stan pogranicza polsko-ruskiego na całej przestrzeni.... aż po Ruś Czerwoną. Drobne przesunięcie granicy politycznej ruskiej ku zachodowi... nie odbiło się jednak trwale w obrazie narodowościowym” i dalej: „Zupełnie znikomą rolę gra tu ruch... żywiołu ruskiego na zachód”.[[19]](#footnote-19) Co do tego zagadnienia znajdujemy jeszcze jedną ogólną uwagę: „...między zwartym i zdecydowanie określonym osadnictwem wschodnio- czy zachodnio-słowiańskim istniał bez najmniejszej wątpliwości szeroki pas osadnictwa mieszanego”.[[20]](#footnote-20) Cytowany historyk nie zaspokaja jednak — chyba nie bez przyczyny — naszej ciekawości co do tego, gdzie przebiegają granice tych różnych typów osadnictwa.

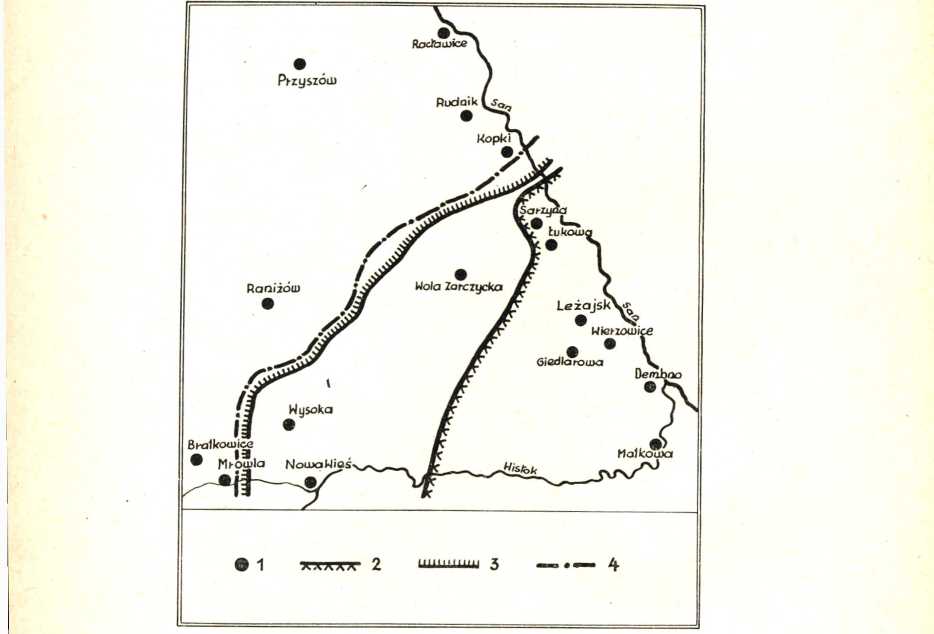
Interesujący nas problem stosunku granicy polsko-ruskiej do wschodniej granica województwa sandomierskiego niech podsumuje wypowiedź historyka: „Na późniejszą granicę dzielnicy sandomierskiej z ziemiami ruskimi nie możemy patrzeć, jako na granicę plemienną”.[[21]](#footnote-21)

Taką mniej więcej wiedzą rozporządzamy w interesującej nas kwestii granic odnoszących się do czasów Polski plemiennej i nieco późniejszych.

Cokolwiek by się powiedziało jednak o przesunięciach wschodniej granicy Polski, o niepewności z jaką tę granicę dla różnych wieków kreślimy zgodzić się musimy z tym, że wschodnia granica mazurzenia w wielu fragmentach jest zbliżona do wschodniej granicy dawnego woj. sandomierskiego i późniejszego lubelskiego. Jeśli jednak tej granicy językowej nie odnosimy z powodu wyżej wymienionych zastrzeżeń do czasów plemiennych, przed X wiek, musimy się zastanowić po pierwsze nad tymi fragmentami granicy administracynej i językowej, które nie są z sobą zgodne oraz nad tym, jak długo, do jakiego czasu ta granica administracyjna woj. sando-

mierskiego mogła odgrywać rolę tamy dla rozchodzących się np. z Mazowsza zjawisk językowych.

Pierwszy punkt omówię na przykładzie tego fragmentu granicy wschodniej woj. sandomierskiego, która biegnie od Sanu (na poł. od Tanwi) po Wisłok (między Rzeszowem a Dębicą). Rozbieżność między omawianą granicą administracyjną i językową jest tu nieduża i można by — jak to się robi — założyć, że to odstępstwo jest skutkiem cofnięcia się mazurzenia z zachodu na wschód, gdyby na to pozwoliły fakty osadnicze i językowe.



**Rys. Jan Stała**

**Objaśnienie do mapy:**

1 — Wsi starego osadnictwa (do XIV, XV wieku), 2 — Dzisiejsza granica mazurzenia, 3 — Wschodnia granica cech mazowieckich, 4 — Wschodnia granica dawnego województwa sandomierskiego.

Przedstawiona mapa zawiera materiał, którego dostarczają prace historyczne i językoznawcze: zaznaczone na niej zostały te wsie, w widłach Sanu i Wisłoka które na mapie Persowskiego określa się jako posiadające metrykę do w. XIV i z XV. Nie jest tych wsi dużo, ale są to nad Sanem, do wschodniej granicy woj. sandomierskiego wsi nie mazurzące. Sarzyna jest

ostatnią nie mazurzącą na północy. Dzisiejsza granica nie mazurzenia nie sięga dalej na północ, natomiast nad Wisłokiem obejmuje dziś kilka wsi dalej na zachód niż dochodzi osadnictwo XIV — XV w. Można więc powiedzieć, że izoglosa mazurzenia jest tu śladem granicy osadniczej między wsiami bardzo starego osadnictwa a... bezludną w XV wieku Puszczą Sandomierską. O tym, że na zachód od tego zwartego zasiedlonego obszaru w widłach Sanu i Wisłoka nie ma w XV wieku wsi, przekonuje nas mapa Persowskiego, praca Ladenbergera[[22]](#footnote-22), częściowo studia Dobrowolskiej[[23]](#footnote-23). Zasiedlenie tego pasa jaki nam zostaje między wschodnią granicą woj. sandomierskiego i granicą mazurzenia odbywa się w XVI w.[[24]](#footnote-24) Zasiedla go ludność, której mowa wieloma cechami różni się od gwary wsi nie mazurzących w klinie San-Wisłok. Ta ludność napływająca w XVI w. przyniosła już z sobą mazurzenie, zrównała dawne o z u (u sąsiadów na wschodzie pozostało u) zachowała do dziś resztki przejścia -χ w -k[[25]](#footnote-25), w niektórych wsiach nie ma samogłosek nosowych.[[26]](#footnote-26) Te cechy, jak również wiadomości o osadnictwie jednoznacznie określają pochodzenie tej ludności, która w XVI w. wcisnęła się w pas między starym osadnictwem i wschodnią granicę województwa sandomierskiego, oddzielającą środek nieprzebytej puszczy. Nie mogli oni przyjść od środka Puszczy Sandomierskiej, bo tam w XVI w. była pustka, z tego samego powodu nie mogli przyjść z za Sanu. Nie mogli napływać zbyt daleko od południa, cechy językowe (brak nosówek, przejście -χ w -k) łączą ich z obszarem osadniczym na linii Dębica-Rzeszów. Kolonizacja samego środka Puszczy Sandomierskiej odbywała się w zasadzie w XVII wieku a nawet później. Jak to miałam okazję wykazać na innym miejscu większość cech przyniesionych przez osadników, zaludniających w XVII a nawet XVIII wieku sam środek Puszczy Sandomierskiej, oparła się o granicę wschodnią woj. sandomierskiego. Są to np. następujące cechy: wymowa rozszerzona ą, przejście grupy eN w aN, twarda wymowa lypa, lyst końcówka narz. l.mn. -my, postać zaimka «mi», twarda wymowa śfyńia, końcówka 2 os. lmn. -ta, bezdźwięczna fonetyka międzywyrazowa, czyli cechy, które w różny sposób mogły tam dotrzeć od Mazowsza[[27]](#footnote-27). Wszystkie te zjawiska nie mogły tam dojść przed wiekiem XVI, a jednak na wschodniej granicy woj. sandomierskiego wyraźnie się zatrzymały.

Powątpiewał K. Nitsch w to, że ta granica (wschodnia Małopolski) mogła w XVI wieku stanowić jakąś przeszkodę dla rozprzestrzeniającego się — według Taszyckiego dopiero wtedy — mazurzenia: „...gdyby to nawet tak było, to pytanie moje pozostaje bez zmiany, mianowicie: dlaczego obejmujące Małopolską w wieku XVI mazurzenia ściśle na tej granicy stanęło? Przecie w tym czasie nie była to już żadna żywa granica: po obu jej stronach była ta sama ludność, nawet o tej samej tradycji, podległa tym samym urządzeniom społecznym i administracyjnym”[[28]](#footnote-28).

To sformułowanie wypadnie nam jednak zakwestionować, wobec tego, że, jak się wyżej okazało, granica ta odgrywała taką rolę jeszcze w XVII w. Byłoby uproszczeniem twierdzić, że odgrywała ją jako granica administracyjna. Odgrywała tę rolę na omawianym przez nas odcinku ponieważ po obu jej stronach osiedlała się ludność z różnych „rzutów” osadniczych, ponieważ w okresie aktualności tej granicy skonsolidował się po jej wschodniej stronie na tyle samodzielny system gwarowy (klin osadniczy XVI-wieczny), że późniejsi osadnicy idący od Lubelszczyzny czy Mazowsza nie zdołali tego systemu naruszyć i ich cechy dotarły dotąd, dokąd i oni dotarli, tzn. dotąd, dokąd rozciągały się tereny niezasiedlone do XVII w. Nie jest też wykluczone, że ludność po obu stronach tej granicy nie była poddana tym samym urządzeniom społecznym i administracyjnym, ponieważ mamy tu do czynienia z różnymi własnościami: królewską i prywatną.

Pozostaje jeszcze odpowiedzieć na pytanie: dlaczego osadnicy w w. XVI wciskający się klinem między wsi nie mazurzące i Puszczę Sandomierską uszanowali tę granicę administracyjną, która — jak się wydaje — biegła wtedy przez pustkowia i do niej tylko dotarli. Wypadnie nam odpowiedzieć na to pytanie hipotezą: może ta granica wykreślona przez bory i pustkowia biegła mniej więcej w pasie łatwiej dostępnym dla osadników; na zachód od niej rozciągał się najtrudniejszy do zdobycia środek Puszczy Sandomierskiej, co w naturalny sposób określiło zasięg drugiej fali osadniczej z południowego wschodu, a wtórnie podkreśliło ważność tej granicy.

Analiza tego małego odcinka wschodniej granicy Małopolski i izoglosy mazurzenia uprawnia nas do następujących wniosków:

1. Nawet drobne różnice w przebiegu granicy politycznej i językowej mogą być istotne i wskazywać na działanie innych niż owa granica polityczna przyczyn ustalenia się izoglosy.
2. Granica polityczna, administracyjna może bardzo długo odgrywać rolę tamy dla zjawisk językowych nie tyle z przyczyn jej bezpośredniej ważności, ile na skutek tego, że w okresie jej aktualności wykształca się po jednej jej stronie na tyle odrębny zespół gwarowy, że „nowinki” nadchodzące później od sąsiadów mogą nie być przyjmowane, co przedłuża jej aktualność, w późniejszym okresie już wtórną.
3. Można więc przyjąć, że mazurzenie dotarło na wschód Małopolski i nie

posunęło się dalej, ponieważ natrafiło tam na zespół gwarowy na podłożu wczesnego osadnictwa uformowany, który swój brak mazurzenia nie musi zawdzięczać ani podłożu ani przymieszce ruskiej.

1. Granica braku mazurzenia i granice mazowizmów nie są zbieżne. Nie ma na przedstawionym odcinku takich wsi, do których dotarłyby cechy mazowieckie, a które by nie mazurzyły (wyjątki są zupełnie drobne, mało istotne). Innymi słowy: wszędzie tam między Wisłą i Sanem, gdzie występują tzw. mazowizmy, tam występuje też mazurzenie.

*Janina Wójtowicz*

***Z*** *DZIEJÓW NAUKI O JĘZYKU POLSKIM***W***SZKOLE ŚREDNIEJ*

*2. DYDAKTYKA NAUKI O JĘZYKU****W*** *OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM I W POLSCE LUDOWEJ*

Większe zmiany w treści nauki o języku w szkołach średnich wprowadziły dopiero programy wydane w dwudziestoleciu międzywojennym przez ówczesne Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Podstawą do opracowania materiału programowego w zakresie nauki o języku stał się „Memoriał do Ministerstwa WR i OP w sprawie nauki języka polskiego w szkołach średnich uchwalony na zjeździe gramatyków polskich”.[[29]](#footnote-29) Postulaty zawarte w „Memoriale” zostały zaakceptowane przez Ministerstwo i w całej rozciągłości uwzględnione w „Programie nauczania gimnazjum państwowego” wydanym w 1922 r.[[30]](#footnote-30).

Program gimnazjum państwowego zawierał materiał nauczania dla kl. V—VIII, tj. dla tzw. gimnazjum wyższego (odpowiadającego pod względem wieku uczniów powojennemu liceum opartemu na 7 klasach szkoły podstawowej). Wśród celów nauczania „w zakresie poznawania i opanowywania języka” wymieniał zarówno cele teoretyczno-poznawcze („doprowadzić do zrozumienia podstawowych właściwości współczesnego języka polskiego z uwzględnieniem jego rozwoju w ciągu wieków ubiegłych”), jak i praktyczne („nauczyć poprawnie i biegle mówić i pisać”). Realizacji tych celów miały służyć, po pierwsze, teoretyczna nauka o języku, po drugie zaś, tzw. „ćwiczenia w używaniu języka”. Wskazówki metodyczne do programu, wydane przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego[[31]](#footnote-31), głosiły potrzebę możliwie ścisłego wiązania zdobywanej przez ucznów wiedzy z umiejętnościami praktycznymi, co miało dotyczyć zwłaszcza językowego działu programu.

Ta łączność teorii z praktyką była jednak postulatem trudnym do reali-

zacji z wielu względów, m.in. wskutek niedostatecznej precyzji poszczególnych sformułowań programu i niejasnej konstrukcji całości. Tematy z dziedziny nauki o języku miały przeważnie sformułowania zbyt ogólnikowe, by można było dokładnie zorientować się, jakie konkretne wiadomości obowiązują uczniów, a praktycznie „ćwiczenia w używaniu języka” (streszczenia, sprawozdania, opisy, rozprawki itp).) właściwie nie łączyły się ściślej z materiałem teoretycznym, choć występowały w tym samym, dziale programu.

Jeśli chodzi o treść nauczania z dziedziny nauki o języku, program wymieniał powtórzenie i uzupełnienie wiadomości gramatycznych ze szkoły powszechnej lub gimnazjum niższego (kl. IV), życie wyrazów, tj. zmiany znaczenia i form wyrazów (kl. V), objaśnianie języka autorów objętych programem literatury (kl. VI i VII), wreszcie psychologiczne pogłębienie nauki o języku. Ten ostatni temat traktowany był zresztą jako nie obowiązujący, lecz jedynie pożądany, ze względu na brak podręczników. Co prawda, podręczników do nauki o języku dla gimnazjum wyższego nie było w ogóle aż do czasów reformy szkolnictwa w latach trzydziestych, wskutek tego pomyślna realizacja tego działu programu było dość wątpliwa.

Trudności w opracowaniu działu nauki o języku w gimnazjum wyższym, spowodowane brakiem podręcznika dla ucznia, częściowo łagodziły wskazówki metodyczne do programu, których obszerną część dotyczącą języka napisał Stanisław Szober. Wskazówki te, będące pierwszym w Polsce zarysem metodyki nauki o języku dla wyższych klas szkoły średniej, można by uznać za wzorowy podręcznik dla nauczyciela. Zawierały one zarówno dokładne informacje na temat treści nauczania i sposobów jej interpretacji rzeczowej, jak i wskazania ściśle metodyczne. Czytając je, możemy stwierdzić, jak znaczny postęp dokonał się w dydaktyce nauki o języku polskim od czasów gramatyki Małeckiego, powszechnie używanej w szkołach średnich w ciągu przeszło pół wieku. Wyzyskując zdobycze współczesnego mu językoznawstwa i pedagogiki, zerwał Szober zdecydowanie z zakorzenionymi w praktyce szkolnej błędami, których przyczyną było nienadążanie za teorią naukową oraz dogmatyczne metody nauczania. Traktował naukę o języku w wyższych klasach gimnazjum jako przedmiot mający za zadanie wyjaśnienie podstawowych właściwości języka polskiego, które ukształtowały się w ciągu jego wielowiekowego rozwoju. Drogą do realizacji tego zadania powinno być — zdaniem Szobera — przede wszystkim rozumowanie indukcyjne, oparte na obserwacji, analizie faktów językowych ze współczesnej polszczyzny i z minionych wieków. Ma ono wieść do dokonywanych samodzielnie przez uczniów uogólnień, do odkrywania zasad i praw językowych.

Na programie języka polskiego dla gimnazjum wyższego, jak również na dostosowanych do niego wskazówkach metodycznych zaważył w pewnym stopniu psychologizm, kierunek myślowy którego prekursorem w polskim językoznawstwie był Baudouin de Courtenay. Wpływ psychologizmu, upa-

trującego genezę faktów językowych w duszy ludzkiej, a nie w otaczającym człowieka świecie, widać wyraźnie w wielu zdaniach „Wskazówek”. Brak zwartości i idealnej konsekwencji w systemie językowym tłumaczy autor tym, że „taka jest natura duszy ludzkiej, wikłającej się w nieustannych sprzecznościach i takimi też muszą być jej objawy uzewnętrzniające się w działalności społecznej”. A zatem „głębsze ujęcie faktów językowych” (chodzi tu o ujęcie psychologiczne) wskaże nam „drogę poznania i rozumienia dusz ludzkich”[[32]](#footnote-32).

Trzeba jednak przyznać, że S. Szober, autor językowej części „Wskazówek metodycznych”, nie ulega bez reszty psychologizmowi, skoro w innym miejscu twierdzi, że interpretacja psychologiczna faktów językowych nie wystarcza, co więcej, zbyt jednostronnie prowadzona naginać może do sztucznych uogólnień”[[33]](#footnote-33).

Program gimnazjum wyższego nie zawiera w dziale nauki o języku tematów stylistyki, a zagadnienia setmantyczne ogranicza do tzw. życia wyrazów, tj. do ukazywania na dobranych przykładach zmienności ich znaczeń. Jest to uzasadnione niedostatecznym jeszcze w owym czasie teoretycznym rozwinięciem obu tych dziedzin nauki o języku. Aż do pierwszych trzech dziesięcioleci XX w. uprawiano w szkole stylistykę tradycjonalną, odziedziczoną po starożytnych, która miała niewiele wspólnego z językoznawstwem, a polegała głównie na formułowaniu przepisów poprawnego i ozdobnego wysławiania się, łączyła się więc raczej z retoryką. Tak mniej więcej traktuje jeszcze sytlistykę program gimnazjum wyższego, w którym w dziale „lektura” znajdujemy m.in. następujące hasła: „sprawdzanie, a w razie potrzeby uzupełnianie wiadomości i wprawy w zakresie synonimiki, rozbioru porównań, rozróżniania logicznych stosunków między pojęciami” (...) „zwracanie uwagi na piękne i charakterystyczne zwroty i wyrażenia” (kl. IV), „wyszukiwanie i rozbiór porównań, przenośni, omówień, stopniowań zwrotów krasomówczych” (kl. V).

Jeśli chodzi o semantykę, to, choć sprzyjały jej rozwojowi podejmowane w XIX w. prace leksykograficzne (Linde, słownik wileński, słownik warszawski), nie wykształciła się ona właściwie jako osobna dyscyplina teoretyczno-badawcza, a w praktyce szkolnej ograniczała się w zasadzie do tradycyjnego podziału wyrazów na części mowy, opartego na podstawie znaczeniowej. Umieszczenie w programie gimnazjum wyższego tematu „Życie wyrazów” było więc dowodem znacznego postępu w stosunku do dawniejszych programów szkolnych.

Dalszy postęp w dziedzinie szkolnej nauki o języku, polegający m.in. na rozszerzeniu jej zakresu i wyjściu poza granice tradycyjnej gramatyki, wiąże się ściśle z rozwojem teoretycznych badań językoznawczych i z praktycznymi ich wynikami w postaci licznych publikacji naukowych. Na oży-

wienie zainteresowań polskich językoznawców semantyką i stylistyką, wpłynęły w znacznej mierze głośne prace lingwistów zachodnioeuropejskich, a zwłaszcza F. de Saussure’a, F. Brunota i Ch. Bally.

Mimo rozbieżności poglądów na przedmiot badań stylistycznych za kilkanaście lat stylistyka jako dział nauki o języku znalazła się w programach przeznaczonych dla szkoły średniej, przy czym jej ujęcie podręcznikowe cechował eklektyzm w stosunku do różnych teorii językoznawczych z przewagą elementów psychologizmu.

Na kształtowanie się treści szkolnej nauki o języku znaczny wpływ miały prace J. Rozwadowskiego postulujące włączenie do programów i podręczników zagadnień semantycznych, a zwłaszcza dwa artykuły drukowane w Języku Polskim: „Semantyka a gramatyka. Nauka o znaczeniu w obrębie nauki o języku”[[34]](#footnote-34) oraz „O nauce języka ojczystego i o rzeczach pokrewnych”[[35]](#footnote-35). Rozpatrując poglądy F. Brunota wyrażone w dziale „La pensée et la langue”, a także angielskich, niemieckich i skandynawskich językoznawców i dydaktyków, doszedł J. Rozwadowski do wniosku, że należy ożywić i unowocześnić tradycyjną gramatykę, włączając do niej elementy nauki o znaczeniu wyrazów, co jest pożądane zarówno z teoretycznego, jak i praktycznego punktu widzenia. Warto zacytować wypowiedź Rozwadowskiego stanowiącą konkluzję rozważań na temat stosunku gramatyki do semantyki, do dziś bowiem jego propozycje nie tylko nie straciły na aktualności, ale także nie doczekały się pełnej realizacji w praktyce szkolnej.

«Słusznie podkreślano energicznie i z różnych stron konieczność jasnego przeciwstawenia, a zarazem stałego i konsekwentnego uwzględniania obu stron faktu językowego, jakimi są postać i znaczenie. Twór językowy jako taki jest właśnie znakiem pewnej treści, istnieje razem z nią i przez nią nadaje jej zarazem pewien obiektywny byt. Jest więc rzeczą jasną, po pierwsze, że oba te momenty, te obie strony utworu językowego trzeba mieć zawsze na oku, a po wtóre, iż trzeba je uwzględniać przy wszystkich tworach językowych”.

Dalsze rozszerzenie zakresu nauki o języku i wzbogacenie jej treści, co niewątpliwie wiąże się z postulatami językoznawców, widzimy w programach zreformowanej w latach trzydziestych szkoły średniej, obejmującej czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum. Nauka o języku w gimnazjum (którego wyższe klasy odpowiadały pod względem wieku uczniów dwu pierwszym klasom współczesnego liceum) miała się przyczyniać „do lepszego zrozumienia współczesnego języka polskiego i poprawnego nim władania, zaprawiając jednocześnie do jasnego, rzeczowego i możliwie samodzielnego myślenia”.[[36]](#footnote-36) Podobnie formułował cele nauczania program licealny-

Jeśli chodzi o materiał nauczania — to w pierwszych klasach gimnazjum występował systematyczny kurs gramatyki opisowej — od głosowni do składni — w układzie koncentrycznym (podobnie jak obecnie w wyższych klasach szkoły podstawowej). O ile mieliśmy tu do czynienia z typem gramatyki, uświęconym wieloletnią tradycją, o tyle program klasy IV stanowił istotną nowość w szkolnej nauce o języku, Wprowadzał bowiem, zgodnie z koncepcją F. Brunota inny typ systematyki faktów językowych, pogrupowanych nie według kryterium formalnego, ale ze względu na ich wartość znaczeniowo-funkcjonalną. Wymagał mianowicie ukazywania „różnych sposobów omawiania osób, rzeczy, zjawisk, czynności i stanów, jakości, ilości, okoliczności, stosunków, uczuć i woli człowieka za pomocą różnych części mowy, form fleksyjnych, części zdania, rodzajów zdań lub ich równoważników”[[37]](#footnote-37).

W takim podejściu do faktów językowych wyraźnie akcentowało się ich stronę semantyczną, której uwzględniania w badaniach naukowych i w szkole domagał się m.in. J. Rozwadowski. Zarazem analiza tworów językowych, dokonywana pod kątem widzenia ich przydatności do wyrażania treści myślowej i uczuciowej, łączyła się ze stylistyką czego dowodem jest ówczesny podręcznik dla klasy IV gimnazjum[[38]](#footnote-38) [[39]](#footnote-39).

W szerokim zakresie uwzględniał stylistykę program dla liceum ogólnokształcącego, który zawierał m.in. takie tematy jak: „język jako środek ekspresji”, „pierwiastek rozumowy, uczuciowy i wyobrażeniowy w języku”, „zależność stylu od struktury psychicznej i środowiska autora, od kierunku i rodzaju literackiego”.11 Oprócz stylistyki, która stanowiła trzon nauki o języku w liceum, wymieniał program także tematy z dziedziny historii języka, socjologii języka („język a życie społeczne”), teorii ortografii i ortoepii.

W doborze tematów programowych uwidacznia się pewien elektyzm: naczelne hasło programu — to „język jako środek ekspresji”, dalej zaś występują hasła mówiące o historycznym i społecznym uwarunkowaniu języka. Wysunięcie na pierwszy plan ekspresywnej funkcji języka, jako środka służącego przede wszystkim wyrażaniu „treści życia duchowego człowieka”, wiąże się niewątpliwie z subiektywnym idealizmem, którego konsekwencją jest rozpowszechniony ówcześnie w językoznawstwie psychologizm.

Oceniając programy i podręczniki z okresu międzywojennego dwudziestolecia, trzeba przyznać, że pod względem doboru treści nauczania i jej rzeczowej interpretacji wpłynęły one korzystnie na rozwój dydaktyki nauki o języku polskim, mimo pewnych błędów wynikających z ulegania

rozpowszechnionym ówcześnie, a dziś zarzuconym teoriom językoznawczym.

Podobnie znaczny postęp możemy stwierdzić w tym okresie w dziedzinie metod nauczania. Rzecz naturalna, sprzyjało mu odrodzenie polskiej szkoły po długotrwałym okresie niewoli, co umożliwiło swobodny rozwój literatury metodycznej, a przede wszystkim wydanie podręczników odpowiadających potrzebom młodzieży. Szybki rozwój metodyki nauki o języku polskim należy w znacznej mierze zawdzięczać także wielkiemu zainteresowaniu, jakim darzyli sprawy dydaktyczne wybitni językoznawcy. Obok wspomnianych poprzednio: Baudouina de Courtenay, Rozwadowskiego, Łosia, Szobera i Rudnickiego, wymienić tu należy Z. Klemensiewicza, H. Gaertnera i W. Doroszewskiego. Szczególnie wielkie zasługi dla dydaktyki języka ojczystego w ogóle, a nauki o języku w szczególności, położył Z. Klemensiewicz, autor cennych podręczników dla szkoły powszechnej, gimnazjum i liceum, najobszerniejszej a zarazem najbardziej wartościowe w naszym piśmiennictwie metodycznym dydaktyki nauki o języku polskim[[40]](#footnote-40), wreszcie wielu wartościowych rozpraw i artykułów, bądź to wydawanych jako osobne publikacje, bądź też drukowanych w czasopismach językoznawczych i pedagogicznych.

Dzięki pracom Szobera, Klemensiewicza i Gaertnera, opartym na mocnych podstawach teoretycznych, a także wyzyskujących doświadczenia z praktyki szkolnej, otrzymaliśmy w okresie międzywojennego dwudziestolecia zarówno cenne wzory metodycznego opracowania szczegółowych zagadnień językowych, jak i interesujące próby ogólnego ujęcia podstawowych zasad nauki o języku w szkole powszechnej i średniej.

Znamienną cechą ówczesnych prac metodycznych jest zdecydowana opozycja przeciwko rozpowszechnionemu w XIX w. dogmatyzmowi w nauczaniu, zapoczątkowana już w pierwszych latach naszego stulecia, i przeciwstawienie się systemowi herbatowskiemu. Już pierwsze programy dla gimnazjum wyższego kładą nacisk na kształcące cele nauczania i na wyrabianie aktywności uczniów w procesie zdobywania wiedzy.

Jako najwłaściwszą metodę nauczania zalecają „Wskazówki metodyczne do programu gimnazjum wyższego” heurezę, której istotę upatruje się w tym, że uczniowe samodzielnie zmierzają „do wykrycia nowych praw na podstawie zgromadzonych faktów”.

Jeszcze bardziej do koncepcji szkoły aktywnej zbliżyły się programy zreformowanej w latach trzydziestych szkoły średniej (gimnazjum i liceum). Program gimnazjum nie tylko negował potrzebę wykładu, ale wręcz przestrzegał przed nim. „W kierowaniu lekcją gramatyczną — czytamy w uwagach metodycznych do programu — powinien nauczyciel starać się

O to, żeby rozwijać samodzielność ich (uczniów) myśli przez zaniechanie wykładu, narzucającego gotową wiedzę, oraz sugestii, naginającej ucznia do sposobu myślenia nauczyciela”[[41]](#footnote-41).

W takich zaleceniach tkwiło poważne niebezpieczeństwo zaniedbania materialnego celu nauczania (zdobywanie wiedzy) i ograniczanie się do celów formalnych, co prowadziło w konsekwencji do rozdźwięku między teorią a praktyką. Nic więc dziwnego, że wywołało to protest językoznawców, m.in. W. Doroszewskiego, który w pracy „Myśli i uwagi o języku polskim” pisał:

„Nastrój sformułowań kładących nieustannie nacisk na to, by uczeń nie tyle poznawał fakty, ile ćwiczył się we wprawianiu w stan pobudliwości myślowej, mógłby może mieć swoje uzasadnienie, w jakiejś abstrakcyjnej indywidualistycznej koncepcji „pełnego człowieka”, ale nie w koncepcji jednostki mającej pełnić określoną funkcję w zorganizowanym społeczeństwie i państwie[[42]](#footnote-42).

Najbardziej gruntowną i wszechstronną chrakterystykę celów i metod nauczania języka polskiego w szkole ogólnokształcącej, powszechnej i średniej, znajdujemy w pracach Z. Klemensiewicza, a zwłaszcza w jego „Dydaktyce nauki o języku ojczystym”.

Opowiadając się po stronie zwolenników szkoły aktywnej, stawiając jako niezbędny warunek efektywności nauki szkolnej samodzielną pracę uczniów, podkreśla Z. Klemensiewicz z naciskiem konieczność realizacji obu celów nauczania języka ojczystego, a mianowicie: opanowania teorii oraz rozwijania myślenia na materiale językowym. Dostrzega niebezpieczeństwo heurezy, a zwłaszcza rozbijania złożonego zagadnienia na zbyt wiele pytań naprowadzających, wskutek czego uczniowie ani nie chwytają całości problemu językowego, ani też w istocie rzeczy nie pracują samodzielnie.

Nowe elementy wiedzy, zdobywane przez uczniów na lekcjach drogą możliwie samodzielnego myślenia, powinny zdaniem Z. Klemensiewicza „łączyć się z wiedzą nagromadzoną w przeszłości i z tą, którą się zamierza podać w przyszłości. Spełnienie tego ważnego warunku powodzenia lekcji ułatwia należyty program nauczania przedmiotu, nasuwający nauczycielowi szereg odosobnionych, a wewnętrznie powiązanych zagadnień”[[43]](#footnote-43).

Jak wynika z cytowanych zdań, uzależnia Z. Klemensiewicz powodzenie szkolnej nauki o języku nie tylko aktywnej postawy uczniów, ale także od właściwej struktury treści przedmiotu i od wiązania elementów nauczanej wiedzy w możliwie zwarty system pojęć.

Mamy tu do czynienia z twórczą próbą syntezy wartościowych elementów szkoły aktywnej i systemu herbartowskiego. Są to koncecje bliskie współczesnym prądom w dydaktyce ogólnej.

Dorobek dydaktyki nauki o języku w szkole średniej w okresie minionego dwudziestolecia Polski Ludowej polega przede wszystkim na wzbogaceniu i unowocześnieniu treści nauczania.

Po okresie przejściowym (lata 1945—48), kiedy to obowiązywały zmodyfikowane programy przedwojennego gimnazjum i liceum, nowe programy i instrukcje programowe, przeznaczone dla zreformowanej szkoły ogólnokształcącej, stopniowo rozszerzały zakres materiału językowego, obowiązującego uczniów, a przy tym wprowadziły istotne zmiany w teoretycznym ujęciu treści nauczania. Wiąże się to ściśle z rozwojem badań językoznawczych w Polsce.

Program nauczania dla liceum ogólnokształcącego, wydany w r. 1950, zawierał prócz tematów tradycyjnie występujących w szkole średniej (uzupełnienie wiadomości z gramatyki opisowej, elementy gramatyki historycznej i historii języka) nowy obszerny zespół tematów z zakresu kultury języka, jak np. kryteria poprawności językowej: formalno-logiczne, estetyczne, historyczne, narodowe i regionalne[[44]](#footnote-44). Programy przedwojenne traktowały zagadnienia kultury języka głównie jako przedmiot praktycznych ćwiczeń w mówieniu i pisaniu, a nie jako przedmiot nauki teoretycznej, zgodnie z rozpowszechnionym ówcześnie mniemaniu, że wartościowanie faktów językowych nie należy do zadań językoznawstwa.

Większe jeszcze zmiany w treści szkolnej nauki o języku wniosła „Instrukcja programowa dla liceów ogólnokształcących” z r. 1957. Dzięki podjętym w okresie powojennym pracom w dziedzinie leksykografii i stylistyki (m.in. „Słownik języka polskiego” pod red. W. Doroszewskiego, „Słownik wyrazów bliskoznacznych” S. Skorupki) powstały korzystne warunki dla rozwoju badań nad słownictwem i stylem. Osiągnięcia tych badań można było przenieść do szkoły średniej, której programy — poczynając od r. 1957 — wzbogacił materiał nauczania z zakresu semantyki, frazeologii i stylistyki lingwistycznej. Właściwemu opracowaniu tych działów nauki o języku sprzyjają dostosowane do nowych programów podręczniki[[45]](#footnote-45). Ogólnie rzecz biorą, można powiedzieć, że dydaktyka nauki o języku w szkole średniej, jeśli chodzi o treść nauczania, stara się w okresie powojennym nadążać za rozwojem badań językoznawczych. Niekiedy nawet wyprzedza je, wskutek czego w niektórych programach i podręcznikach

pojawiają się tezy niedostatecznie umotywowane pod względem naukowym lub nawet wręcz błędne[[46]](#footnote-46).

Porównując współczesne programy i podręczniki nauki o języku dla szkoły średniej z odpowiednimi programami i podręcznikami przedwojennymi, możemy stwierdzić, że różnią się one nie tylko zakresem materiału nauczania, ale w znacznym stopniu także sposobem interpretacji faktów językowych. Wiąże się to ściśle z rozwojem językoznawstwa, z oparciem jego na podstawach materialistycznych, dzięki czemu możliwe było przezwyciężenie błędów mających swe źródło w psychologistycznym czy formalistycznym traktowaniu języka.

Istotną zdobyczą szkolnej nauki o języku było np. wprowadzenie do programów i podręczników nowej metody analizy słowotwórczej, polegającej na ustalaniu relacji między wyrazem podstawowym a pochodnym oraz na podziale wyrazów pochodnych na temat słowotwórczy i formant. Wprowadzenie do podręczników szkolnych tego typu analizy słowotwórczej ma doniosłe znaczenie nie tylko teoretyczno-poznawcze, ale i praktyczne: ułatwiając uczniom zrozumienie struktury i znaczenia wyrazów, zarazem sprzyja świadomemu i poprawnemu ich używaniu.

Z wyraźnym postępem w dziedzinie doboru treści nauczania nie idzie niestety w parze rozwój metodyki tego przemiotu. Liczba prac dotyczących procesu nauczania, organizacji pracy uczniów, form i metod nauczania jest dość skromna.

Jedyną większą pozycją wydawniczą o charakterze syntetycznym stanowi w tej dziedzinie praca Z. Klemensiewicza pt. „Wybrane zagadnienia z zakresu nauczania gramatyki na stopniu licealnym”[[47]](#footnote-47), w której autor rozwija tezy zawarte w swej przedwojennej „Dydaktyce nauki o języku ojczystym”.

Godne uwagi są artykuły J. Tokarskiego na temat struktury treści różnych działów nauki o języku w szkole podstwowej i średniej[[48]](#footnote-48), zwłaszcza że zagadnienie to, jedno z kluczowych we współczesnej dydaktyce[[49]](#footnote-49), nie było dotychczas szerzej omawiane w naszej literaturze metodycznej.

Mało jest natomiast poważniejszych prac uwzględniających współczesne programy nauczania szkoły średniej, a dotyczących procesu nauczania i uczenia się w zakresie nauki o języku w ogóle, a także w zakresie poszczególnych jej działów i tematów. Prac badawczych, opartych na syste-

matycznej planowej obserwacji lekcji nauki o języku oraz na eksperymencie pedagogicznym nie ma prawie zupełnie[[50]](#footnote-50).

Jest to zapewnie jedną z istotnych przyczyn słabych na ogół wyników nauczania w dziedzinie nauki o języku w szkołach średnich, mimo niewątpliwego podnoszenia się poziomu programów i podręczników.

Podjęcie systematycznych prac badawczych w dziedzinie metodyki nauki o języku, prac, które dają owocne rezultaty dla dydaktyki innych przedmiotów, jest więc zadaniem ważnym i pilnym. Realizacja tego zadania umożliwi oparcie metodyki nauki o języku na pewniejszych niż dotychczas, bardziej obiektywnych podstawach.

W „Poradniku Językowym” 1966 nr 8, str. 339 nn. ukazał się polemiczny artykuł Z. Kempfa pt. Podarek dla Gniezna na Millennium. Autor w sposób nader dowcipny, z polotem literackim skrytykował moją etymologię Gniezdno[[51]](#footnote-51): ps. gnězdoь «wgłębienie o podłożu gnilnym (gnpjь), żyznym, być może ugniecionym (gnětiti), o kształcie miskowanym». Z podziwu godną erudycją na temat kaliologii i ornitologii zagłębił się w liczne dzieła z tego zakresu, dotyczące gniazd afrykańskich flamingów, europejskich przeróżnych ptaszków z rzędu „Grallatores”, „Natatores”, „Scansores”, „Raptatores” i innych.

Miarą niezwykłej pomysłowości literacko-stylistycznej i przejęcia się tak modnym dziś metajęzykiem jest skrótowiec „teza g” w odniesieniu do mojej etymologii, gdyż — rzecz znamienna — jakąś dziwną niechęć wyraził autor w ten sposób do naturalnego określania osobnika przez nomen i praenomen, tj. po prostu S. Rospond. Oszczędniej byłoby posłużyć się skrótem S. R.

Załamał ręce w rozpaczliwym i pełnym patosu literackiego geście z powodu „skalania gniazda Orła Białego”, pisząc z aluzją o mnie „zły ptak, co własne gniazdo kala”.

Oto zresztą niech przemówi autentycznie, bez mojego komentarza sam autor „antytezy g” (tym mianem pozwolę sobie ochrzcić oponenta mojej „tezy g”):

**„Jak więc daleko odbiegła „teza g” od typu gniazda w ogóle! A już ironią wyda się ona w zastosowaniu do legendarnego Orła Białego. Orzeł bowiem, ten władca przestworzy, buduje gniazda z chrustu na niedostępnych skałach. A może prof. Rospond podświadomie miał na myśli przysłowie o „złym ptaku, co własne gniazdo kala? i ono nasunęło mu niefortunne skojarzenia? Tylko wtedy nawiązywanie do gnoju byłoby usprawiedliwione”. (PJ, str. 343)**

Zakończenie jest zaś następujące:

**„Sumując te wywody, możemy chyba wyrazić życzenie: Z powrotem do mistrza Galla-Anonima, do Brucknera, Rudnickiego i Sławskiego. Lepiej oczyścić z gnid i gnoju legendarne gniazdo Orła Białego” (op. cit. str. 344).**

Redakcja PJ i czytelnicy tego poważnego i zasłużonego dla kultury polonistycznej pisma wybaczą, że dostosowując się do tonu i swoistej sty-

listyki „naukowej” Zdzisława Kempfa rozpocząłem od takiej charakterystyki polemiki. Wracam jednak do merytorycznej obrony, która w rzeczywistości wykaże, że oponent „oczyszczając z gnid i gnoju legendarne gniazdo Orła Białego” wprowadził curiosum rekonstrukcyjne i etymologiczne, w postaci ps. \*kъ-nê-zd-o→\*gnězdo**.**

Etymologia moja Gniezna zerwała z powiastką Galla-Anonima o gnieździe orląt (ps.gnězdo «nidus»←pie. \*ni-zd-os, staro-górno-niem. nëst, łac. nīdus, iryj: net, orm. nist. staroind. nīdā z poniższych względów: 1. nie wytłumaczono, dlaczego zamiast spodziewanego ps. \*nьzdo←pie. \*ni-zd-os jest ps. \*gnězdo (a zatem aż dwie zagadkowe deformacje fonetyczne: „dostawka” g oraz pojawienie się ě zamiast ь; 2. ukształtowanie topograficzne pierwotnego Gniezna, a zwłaszcza identyczne określenie rzek: Gniezna na Podolu i na Białej Rusi oraz miejscowości na Spiszu wykluczają znaczenie w tych nazwach gnězdo «nidus (ptaków czy orląt)»; 3. leksykografia toponimiczna notuje cały szereg takich form i zwłaszcza znaczeń, które nie są znane w ogóle lub w wąskim zakresie apelatywom dawniejszym i dzisiejszym (np. wąwel, sątok, sątěska, wąched itp.).

Artykuł polemiczny, liczący około 5 stron druku zaopatrzony został aż dwustronicowym „pouczeniem” czyli przydługim ekskursem z dziedziny kaliologii (= dyscyplina ornitologiczna traktująca o gniazdach) i ornitologii: por. cytowane dzieła: Wolf-Harnier: Gefliederte Baukünstler. Berlin 1896; Blanchon: Demeures aériennes des animaux. Le nid. Paryż 1905; Dementiew: Pticy naszej strany. Moskwa 1949; tenże, Pticy w: Rukowodstwo po zoologii. T. VI, Moskwa-Leningrad 1940; Mała encyklopedia przyrodnicza PWN, Warszawa 1957, str. 697—711 oraz artykuł „Gniazda krajowych ptaków śpiewających” str. 711; artykuły w „Bolszaja sowietskaja enciklopedija, t. II, str. 546. Mayers Grosses Konversations-Lexicon. T. XIV, str. 532—533. A zatem aż 7 pozycji bibliograficznych (Nb. szkoda, że autor bez imion podaje nazwiska), ale z językoznawczej literatury tylko są dwie pozycje leksykograficzne (Srezniewski i Kluge — Nb. jakiż nieporządek w przypisach: z jednej strony pedantyczna lokalizacja przyp. 6: „...s. 507, hasło „Nest”; przyp. 3: „...Przedruk 1958 r. oryginału z r. 1893, t. I. szpalta 528”, ale tylko Kluge ma pełne imię Friedrich, wszyscy zaś inni autorzy (Srezniewski itd.) bez imienia.

Nie należałoby być tak skąpym w cytowaniu literatury językoznawczej, skoro jest się językoznawcą i skoro stawia się karkołomną „antytezę g”, tj. formę \*kъ-ně-zd-o→ps. \*gnězdo, paralelną (!) do łot. lig-zd-a, lit. lì-zd-as (por. przyimek lig, ligi «do, aż do»).

Czy wystarczy poniższe stwierdzenie autora, bez ścisłej lingwistycznej komparatystycznej, indoeuropeistycznej i slawistycznej argumentacji?

**„Dla umocnienia koncepcji — cytuję S. R. — że w g-n**ě**-zd-o mamy do czynienia z genetycznym k, przypomnijmy o indyjskich Upaniszadach. Jak wiadomo filologom indyjskim, okres powedyjski odznacza się działalnością kontemplatorów, którzy usuwali się od życia świeckiego, udawali na pustelnie, często w lasy i tam poświęcalisię rozważaniom filologicznym i kontemplacji ksiąg religijnych. Działalność ta wydala dzieła, z których jedne noszą nazwę Araniaka...".**

Wystarczy ten cytat, aby powiedzieć starym porzekadełkiem polskim „co ma piernik do wiatraka”. Jak daleko poprzednio z ptakami zajechał czytelnik do Afryki, Ameryki, tak teraz do Upaniszad, po to tylko, aby wydedukować inny potworek ps. \*pri-niz-sěs-ti. Nie rozumiem również związku prapolskiego Gniezna, gniazda i tego jeszcze kontekstu: „Uczeń więc siadał nisko (ni-) i blisko (upa-) swego mistrza, który mu do ucha zwierzał tajemnice religijne. Sądzić więc można, że z podobnego układu, zapewne wtórnego, bo bałtycko-słowiańskiego, powstało k-ně-zd-o→g-ně- zd-o oraz lig-zd-as, gdyż samica nie tylko przysiada na gnieździe, lecz je otula skrzydłami”.

**-**

W związku z tymi zawiłymi wywodami autora należało przede wszystkim:

1. Powołując się na elementarną opinio communis dotyczącą regularności fonetycznej w grupie spółgłoskowej kn- zacytować T. Benniego, J. Rozwadowskiego, J. Łosia i innych, którzy stwierdzili, że „półotwarte zachowują swą samoistność w zwykłym spojeniu z innymi spółgłoskami i nie narzucają im swych cech”: prawy, troska, kłos; knieja, knowie, knur itp. Jeżeli był wpływ, to odwrotny: ps. kъnjiga→pol. (od XIII w.) księga, kъnędzь→ksiądz. A zatem bezdźwięczne k uwarunkowało ubezdźwięcznione n, które wymieniło się na ś.[[52]](#footnote-52) Autor jednak zbagatelizował tę opinio communis co do nagłosowej grupy bezdźwięczna + półotwarta (w tym wypadku n) i jednym pociągnięciem pióra rozgrzeszył się z wymyślonego przez siebie „prawa fonetycznego”.
2. Należało uzasadnić porównawczym materiałem prasłowiańskim możliwość i potrzebę dostawki przyimka kъ do wyrazistej, nagłosowej grupy ně-. W apelatywach nie są znane takie prasłowiańskie dostawki. Przecież lit. liz-das oraz łot. ligzda uważa się za jakąś deformację wspólnego bałtosłowiańskiego wyrazu, który zachował swój oksytoniczny akcent (gnězd’o, ros. gnezd’o[[53]](#footnote-53)). Autor uważa, że „do słabiej (? — S.R.) rozumianego ni-zd-as dodano na gruncie bałtyckim prefiks lig- «do», który spłynął z poprzednim wyrazem w jedno”. A zatem ni-zd-as→lig-ni-zd-as→lizdas, ligzda! Nieprawdopodobna kołomyjka rozwojowa! Zupełnie wyraziste nagłosowe ni- (Nb. przyimkowe i prefiksalne) przyjmuje drugi przyimek-prefiks lig-, aby potem zatracić ni-!? Autor podał tylko nowszy wyraz lit. z tym przedrostkowym lig-liggrevoliucinis «dorewolucyjny», aby wykombinować taką rzeczywiście rewolucyjną hipotezę.

Niech zatem kompetenty bałtolog oceni wartość naukową rekonstrukcji \*lig-ni-zda (por. łot. ligzda, ale lit. lizdas (ze względu na pochodzenie,chronologię i zakres używania w okresie prabałtyckim prefiksu(!) lig «do». Lituanistyka bowiem wśród typowych przyimków-prefiksów o znaczeniu «do, aż do» notuje ìkì, ìk (już w Postylli Daukszy), zaś o lìgì, lìg, lyg pisane: lýg «gleich», nur in Verbindung mit sù, in der Bedeutung «in gleicher Höhe mit» ...Sonst wird lyg nur als Adverb gebraucht”[[54]](#footnote-54); „Przyimek lìgì wynikł niewątpliwie z przekształcenia dawnego przysłówka lýg (iai) pod wpływem iki”[[55]](#footnote-55). A zatem wcześniejsze jest ìkì, ìk, być może związane z ps. kъ, natomiast lìgì, lìg, choć aktualnie w niektórych dialektach jest rozprzestrzenione, jest wtórne i nowsze w znaczeniu przyimkowym i tym bardziej prefiksalnym.

1. Należało nie pomijać kłopotliwego dla zwolenników dawnej etymologii (pie. \*ni-zd-os→ps. gnězdo (zastępstwa i lub ь przez ě.
2. Należało nie mnie pouczać o zjawiskach apofonii, lecz samemu sięgnąć do jakiegokolwiek opracowania dotyczącego indoeuropejskich czy słowiańskich procesów wymiany pie. e:ē→ps. e:ě: łac. sědēre: sēdāre, ps. rek-: rěk-, greb-: grěb-, piet-: plět-, gnet-: gnět[[56]](#footnote-56). Na jakiej podstawie insynuuje autor jakobym twierdził, że gnieść←ps. gnesti miało ě. Jest to bowiem pol. gnieść, gniotą, nagniotek, oraz ugniatać itp. Od bazy iteratywnej gnět- wymienia E. Berneker[[57]](#footnote-57) nie tylko scs. ugnětati, ale też ukr. hńityty «prassens, kneten». Były też iterativa na -iti:voditi. Ps. gnětiti «rozpalać» nie należy oddzielać od gnet- //gnětt-, gdyż postać gně- «rozpalać» nie jest zaświadczona,[[58]](#footnote-58) natomiast ps. gnětiti łączy się z staro-górno-niem. gnîtan, anglos. gnìdan «trzeć», grec. χινει. Por. ros. zagnёtka[[59]](#footnote-59).

Wyszczególnioną przeze mnie bazę pie. \*ghnēi-, \*gneid(h), \*ghnēgh-, ghnədh, \*gnoḭ- (ps. gnejь, gniją, gnida, gnětiti, gnīdan, «trzeć» łot. gnīde «szorstka, chropowata, brudna skóra») można powiększyć dla „tezy g” jeszcze ku wielkiemu oburzeniu polemisty — o jedno nagłosowe g : gniew ps. gněwь «uczucie silnego rozdrażnienia, oburzenia»←gnoi-vos o znaczeniu «zgnilizna» dial ros. rus.-cerk., połab.[[60]](#footnote-60)). Ale są przeciwnicy takiej ewolucji «zgnilizna, ropa, jad, zepsuta krew→gniew» i dlatego zestawiają gniew z rozniecaniem i rozpalaniem, choć ta postać gně- w znaczeniu «rozpalać» nie jest zaświadczona.

Pozostaję przy „tezie g”, czyli rozrośniętej rodzinie etymologicznej, zawierającej nagłosowe pierwotne gn- a nie wymyślne kn- wymieniające się na gn- (?!). Do tej rodziny należą wyrazy: gniazdo, gnida, gnój, gniew,

gnieść, ugniatać oraz nawet gnětiti «rozpalać». Pierwotny stan językowy indouropejski i po części odziedziczony prasłowiański był taki, że jedna baza poprzez różne formanty i apofonie w wieloraki sposób dyferencjowała się najpierw formalnie, co potem pociągało za sobą zróżnicowanie znaczeniowe.

Odpowiedź nie byłaby pełna z mojej strony, gdybym nie wyjaśnił innej zasadniczej, toponomastycznej płaszczyzny badawczej. Tego jednak mojego stanowiska co do specjalnej leksykografii toponimicznej autor nie doczytał się w moich artykułach, choć pisałem: „Nazwy miejscowe jako skamienieliny językowe zakonserwowały niejednokrotnie prastare wyrazy, które dawno wyszły z użycia co do formy lub co do znaczenia: Wąwel : wąwel, Gopło:pło, Sąciaska:sątěska «dolina» itp.”11

Konferencja toponomastyczna w Moskwie (14—15 XI 1966) była poświęcona tej problematyce terminologii geograficznej, tak ważnej dla ogólnej leksykografii. Gdyby nie te dociekania, to nadal łączylibyśmy Sławian, Sławian ze sławą czy słowem, a nie z bazą \*slav- «mokry, wilgotny». Anachronizmem naukowym w toponomastyce jest to, że archetypiczne topographica usiłujemy wyjaśnić metodą — jakby to określił Francuz — tirer par les cheveux, konstruując hipotetyczne etymologie na podstawie aktualnych wyrazów oraz ich znaczeń, czyli tak jakby w języku nic się nie zmieniało.

Moja etymologia ps. gnězdo «wgłębienie» respektowała reguły fonetycznego i morfologicznego rozwoju, czyli naturalnego przejścia pie. gn- na ps. gn-, oraz pie. ē lub oi na ps. ě, wybierając inną pie. bazę zrywając związek etymologiczny z pewną grupą języków indoeuropejskich, które rzeczywiście kontynuują na określenie nidus, niem «Nest» pie. \*ni-zd-os Ort zum Nie- dersetzen[[61]](#footnote-61) [[62]](#footnote-62).

Dziedzictwo leksykalne pie. w grupie bałto-słowiańskiej jest znaczne (np. ps. mati, sestra, bratrъ, synъ), ale nieraz jest ono ze względu na morfem-bazę i podstawę desygnatową, semazjologiczną różne w poszczególnych grupach językowych lub nawet w indywidualnych językach. Np. ps. rǫka, lit. ranka:rinkti, renkiu «zbieram, zagarniam» ma bardzo zróżnicowane — to nie jest przypadkowe — określenia: łac. manus, grec, cheir, niem. Hand itp. Dla ogólnej leksykografii obserwacje nad takimi różnymi podstawami desygnatowymi nad różnymi bodźcami semazjologicznymi w znakowaniu przedmiotów, zjawisk cech i czynności są bardzo ważne i pouczające. Najlepiej bowiem ukazują elastyczność mowy ludzkiej od strony leksykalnej.

A zatem pewna, dość znaczna grupa języków indoeuropejskich wybrała dla «gniazda» pie. \*ni-zd-os, ale prasłowiańszczyzna nawiązała do zu-

**188**

pełnie innej bazy-morfemu \*ghnē-\\ \*ghnēi-\\ \*gnoi- «trzeć, rozcierać; gnieść legowisko-, barłóg; gnój» itp. Niezupełnie jasny jest bałtycki odpowiednik (łot. ligzda, lit. lizdas), który również nie jest bezpośrednim, naturalnym kontynuatorem pie. \*ni-zd-os!

Ta inna dla prasłowiańszczyzny baza-morfem, tj. \*gnoi- itp. była przez etymologów indoeuropejskich i slawistów bezpośrednio suponowana (H. Hirt[[63]](#footnote-63), R. Nachtigal[[64]](#footnote-64), S. Mladenov[[65]](#footnote-65) (lub pośrednio, w drodze analogii do takich wyrazów jak: gnet-, gnьs-, gnět- (K. Brugmann, A. Vaillant, W. Nehring[[66]](#footnote-66)).

Dlatego przeciwnik „tezy g”, czyli tak złośliwie nazwanej mojej etymologii, przemilcza te nazwiska, zwłaszcza Hirta, Nachtigala i innych? Czyżby w tym dziale językoznawczym jego erudycja przeoczyła te nieobojętne w dyskusji fakty bibliograficzne? Przecież tyle miejsca poświęcił ptakom, flamingom i kaliologii!

Wymienieni autorzy albo bezpośrednio dopuszczali związek ps. gnězdo z gnojь itp., albo pośrednio niejako krążyli wokół desygnatów «gnieść, brud, gnić, gnój» (por. gnьsь: gniti, gnьją). Z pewnością bowiem dostrzegali silną więź też semazjologiczną między ps. gnězdo a tymi znaczeniami! Czy i do tych autorów odniesienie Z. Kempf epitet „teza g”, oburzony, że odważono się gnězdo (Nb. orląt czy Orła Białego) skalać porównaniem z gnojem, gnidami etc.

W artykule pisałem wyraźnie co do zachowania w aktualnych nawet słowiańskich określeniach pierwotnego znaczenia oraz bardzo licznych wtórnych (wszystkich aktualnych znaczeń jest około 30):

„Z różnych znaczeń wyrazu gnězdo należy przede wszystkim podkreślić następujące: «budowla służąca za schronienie zwierząt, zwłaszcza ptaków o kształcie miskowatym czy mniej więcej kulistym»; «pomieszczenie z gałęzi, traw, gliny»; «legowisko, barłóg, jama». Przenośne i tym samym wtórne są znaczenia: «ród, plemię siedlisko, ognisko» itp. W niektórych językach słowiańskich oznacza też «koryto rzeki» (serbochorwacki)”.[[67]](#footnote-67)

Polemista uczepił się jednak tylko gniazda ptaków i Orła Białego! Zamierzeniem moim było, aby nawiązując do tych nieśmiałych sugestii etymologizacyjnych, innych językoznawców, z punktu widzenia leksykografii toponimicznej (por. nie tylko Gniezno, ale też Gniezna n.rz.) dostrzec prymarne znaczenie morfemu-bazy \*ghne-, \*gnoi-, \*ghnē- «trzeć, gnieść»->

«gnić, gnój»→«barłóg, legowisko». W ten sposób bowiem omija się całkiem zagadkowe nieregularności fonetyczne, aż... 2 w jednym wyrazie (g, ě). Wybrałem tę drogę toponomasty-leksykografa, gdyż znakomity językoznawca i toponomasta J. Rozwadowski nieraz powtarzał, że nazwy miejscowe są prawdziwym skarbem też leksykografii jako „skamienieliny”” językowe. W zamian za to Z. Kempf darzy, polonistykę, slawistykę i nawet bałtologię wykombinowanymi potworkami morfologicznymi i fonetycznymi ps. \*kъ-ně-zd-o, bałt. \*li-ni-zdas, ps. \*pri-niz-sěsti, przy tym ps. \*kъ-ně-zdo (z prefiksalnym kъ- (?) miałoby w myśl indywidualnych jakichś „praw głosowych” polemisty wymienić się na gnezdo! Slawista i polonista zna dostawkę przyimkowego kъ do takich nowszych tworów jak: pol. kwoli, krzeczy→grzeczy, ksobie «na lewo», kmyślny, k myśli.

Nie należy zatem obrażać się na moją etymologię gnezdo, od którego to wyrazu pochodzi prapolskie Gniezno, gdyż na pewno nie zgniewa się żaden Słowianin czy Sławianin, któremu odebrano już dawno „poetycki mi — etymologię jakoby pochodził od sławy «gloria» lub słowa «mówiący, w odróżnieniu od niemych Niemców» a podano etymologię „błotnistą, bagienną” (tj. od slav- «mokry, nawodny» itp.

Sądzę, że łatwiej będzie zwalczać różne mity-etymologie w odniesieniu zwłaszcza do nazw topograficznych, kiedy polska i słowiańska leksykografia toponimiczna wzbogaci się o odpowiednie słowniki terminów topograficznych, fizjolograficznych przez systematyczne wyszukiwanie dawno wymarłych form i zwłaszcza znaczeń. Wtedy jaśniejszy będzie wywód, co do Gdańska, Wąchocka, Siewierza, Modlina, Sądowla (nom. Sądowel), Golęszyców (nazwa plemienna), Kutno itp.

*Stanisław Rospond*

*DROBNE SPOSTRZEŻENIA*

*O WYMOWIE NASZYCH SPIKERÓW*

Byłoby truizmem raz jeszcze rozwodzić się o tym, jak szeroki zasięg oddziaływania ma słowo wysyłane przez rozgłośnie radiowe i telewizyjne, włącznie ze słowem spikerów, urzędowych niejako reprezentantów tych jakże poważnych instytucji, a zarazem jak wielka na owych spikerach ciąży odpowiedzialność społeczna i kulturalna. Odpowiedzialność nie tylko za treść wypowiadanych tekstów (zresztą najczęściej nie własnych), ale też za ich formę, a więc za styl, formy gramatyczne, no i wymowę — dykcję. Radio i telewizja są w tym zakresie wzorem i przykładem ważniejszym niż teatr, bo oddziałującym równocześnie na miliony słuchaczy.

Czy słowo padające z ust spikerów w całej rozciągłości spełnia warunki owego nieskazitelnego wzoru, bezwględnie godnego zalecenia przykładu? Nie podaję w wątpliwość dobrych chęci wymienionych pracowników telewizji i radia, nie twierdzę, że ich wymowa jest w ogóle niedobra nie mogę im jednak nie wytknąć kilku dość typowych i powtarzających się uchybień, których stanowczo należałoby się wystrzegać. Nie ma tu miejsca na analizowanie dykcji każdego po kolei spikera, ich wymowa nosi niewątpliwe znamiona indywidualne — nie będzie jednak, sądzę, rzeczą niewłaściwą, jeżeli ograniczę się do wyliczenia tych głównych usterek, które stanowią skazy na ogólnym obrazie omawianej sprawy.

Ujmę rzecz w punktach, celowo poruszając jedynie niedociągnięcia.

1. Dykcja tzw. literowa, nie uwzględniająca faktu, że w poprawnej, swobodnej wymowie niektóre grupy spółgłoskowe ulegają nieuchronnym uproszczeniom. Słyszymy więc z głośników tšy, dževa (trzy, drzewa) — ze sztucznie wymawianymi zębowymi t, d zamiast dziąsłowych ṭ, ḍ. Jak wiemy, dalszym stopniem upodobnienia jest tu wymowa čšy, ǯževa, właściwa dla języka potocznego Polski centralnej, a ostatecznie uproszczenie, a raczej likwidację grupy spółgłosek stanowi krakowska potoczna wymowa čy, čeba (trzeba), ǯeva, będąca rażącym regionalizmem.

Podobnie „literowa” jest wymowa zębowego n przed k, g w wyrazach obcych, a więc ranga, anģelsḱi, konkurs. Panowie spikerzy (i panie spikerki) powinni wymawiać tu ŋ tylnojęzykowe, takie jakie słyszymy w wyrazach mąka, pręga, tzn. moŋka, preŋga.

1. Jak wiemy, w swobodnej wymowie nosowość końcowego ę słabnie lub nawet zanika, zwłaszcza przy zbiegu dwóch wyrazów zakończonych na tę samogłoskę. Mówimy więc proše ćę lub prošę će (proszę cię, przy czym rezonans nosowy jest raczej połowiczny). O ile jednak dwunosówkowa wy-

mowa prošę ćę brzmi nawet ze sceny nienaturalnie, afektowanie, o tyle całkowicie pozbawione zabarwienia nosowości proše će jest na miejscu wyłącznie w stylu familiarnym. Taka zupełnie odnosowiona wymowa bierników rodz. żeńskiego i innych form gramatycznych na -ę — w ustach spikerów, wygłaszających oficjalne, często doniosłe treściowo teksty, wydaje mi się rażąca, a niestety jest ona niemal powszechna. Kończące zdanie, dobitnie wymawiane bierniki typu Europe, uwage, te ustawe, pozbawione choćby lekkiej nosowości, są niemiłe dla ucha, zwłaszcza w zestawieniu z owym nienaturalnym, przesadnym t, d, n przed dziąsłowymi oraz na tle starannie odróżnianego h i χ (ch), czy też scenicznego, przedniojęzykowego ł. Sztuczność i wymuszoność tej ostatniej spółgłoski rzuca się w ucho każdemu chyba uważniejszemu słuchaczowi radia, tym bardziej, że co pewien czas nasz spiker wraca do swego naturalnego ṷ zamiast wyuczonego ł.

1. Jeszcze większy dysonans stanowi w wymowie niektórych (na szczęście nie wszystkich!) spikerów zgoła już niedopuszczalne wsuwanie samogłoski typu szerokiego i między ś a r. Chodzi mi o wymowę w rodzaju śirodek, śiroda, właściwą ulicznej gwarze warszawskiej.
2. Niepotrzebne cofanie akcentu na trzecią sylabę od końca, a więc wymowa èpoka, anàliza, sàtyra, częsta niestety w radiu i telewizji, rzadko kiedy obciąża samych spikerów. Niektórzy z nich mają co prawda skłonność do niewłaściwego akcentowania týsiące, týsięcy. Powszechnym natomiast ich grzechem jest błędna wymowa trzysylabowych form nauka, nauce itd. Błąd to znany szeroko, niemniej należy go unikać. Nie chodzi tu bynajmniej, jak sądzi się czasem, o dyftongiczną wymowę au (por. auto, astronauta lub — uwzględniając wargową wymowę ł — pałka, grzałka), ale po prostu o przesunięcie akcentuzu na a.W formie nàuk, nièuk każdy akcentuje prawidłowo przedostatnią samogłoskę (tu: a lub e), w przymiotniku naukòwy, z akcentem na o, grupa au jest poza przyciskiem, ale nigdy nie jest to dyftong, lecz zbieg dwóch samodzielnych samogłosek; tyle że w postaciach nauka, nauki, nauce pod wpływem fałszywej analogii do nie tak odległych treściowo wyrazów obcego pochodzenia: tèchnika, mùzyka, fìzyka itd., akcentowanych na trzeciej sylabie odkońca — prawidłowy akcent przesunął się z u na a. Owo natrętne a błędne nàuka żywo przypomina trochę rzadziej spotykane, ale rażące przesunięcie akcentu w formach trzysylabowych prèwnicy, pràwników (oczywiście na wzór tèchnicy, tèchników itp.)
3. Skoro mowa o akcencie, nie sposób pominąć złego zwyczaju spikerów, jakim jest zachowywanie rosyjskiego akcentowania form typu Lènina, Pùszkina itp. Zasada wymawiania nazw własnych obcych jest jasno sformułowana przez W. Doroszewskiego: w mianowniku zachowujemy akcent oryginalny, w przypadkach zaś zależnych akcentujemy, zgodnie z polską normą językową, sylabę przedostatnią: Lenìna, Puszkì-

na1. Warto tu dodać, że ci, którzy akcentując np. Lènina, Pùszkina, uważają, że są wierni rosyjskiemu oryginałowi, postępują niekonsekwentnie, bo przecież nigdy nie użyją w polskim tekście oryginalnych (rosyjskich) form np. celownika czy narzędnika: Leninu, Leninym. Taką samą niewłaściwością jest wtrącanie w tekst polski rosyjskich form przypadkowych, ale tylko niektórych, np. w Litieraturnoj Gazietie (zamiast: w czasopiśmie Litieraturnaja Gazieta albo ostatecznie: Litieraturnej Gaziecie), bo przecież ten sam spiker na pewno użyłby tu rosyjskiego biernika czy narzędnika.

Z wymową nazw i nazwisk rosyjskich jest zresztą jeszcze pół biedy. Gorzej ma się rzecz z nazwami choćby angielskimi i francuskimi, nie mówiąc o innych zachodnich językach. Jeszcze jednak smutniej wygląda sprawa z językami słowiańskimi (poza rosyjskim): są to przecież języki narodów pokrewnych, geograficznie, politycznie, kulturowo tak nam bliskich, a mimo to dla przeciętnego spikera wydają się egzotyczne, skoro nie potrafią oni prawidłowo wymówić tylu nazw i nazwisk czeskich, bułgarskich, serbskochorwackich, ba nawet słowackich. Wina to nie tylko spikerów, ale i kierownictwa radia i telewizji, które chyba nie korzysta z usług fachowego doradcy slawisty. To trudne do zrozumienia lekceważenie języków naszych sprzymierzeńców i przyjaciół nazwałem swego czasu półżartobliwym mianem aslawizmu[[68]](#footnote-68) [[69]](#footnote-69), chociaż sprawa nie jest wcale wesoła. Najogólniej można ją ująć w dwóch punktach. Po pierwsze, spikerzy narzucają językom słowiańskim wymowę rosyjską, stąd np. skupszczyna zamiast serbskiej skupsztiny (skupština), bułgarskie Rabotniczesko Dieło (tytuł gazety) zamiast Deło itp. Po drugie — ciż spikerzy ignorują znaki diakrytyczne, stosowane w tekstach chorwackich, czeskich, słowackich, nawet jeżeli są to znaki identyczne z naszymi. Dlaczego np. chorwackie (serbskie) nazwiska zakończone na -ić w ustach naszych spikerów kończą się na -ic (Rankovic, Rankovica, zam. Ranković, Rankovicia), albo też na -icz (co znów ślepym naśladownictwem wzoru rosyjskiego), dlaczego czeska Škoda jest stale Skodą, a nie Szkodą, Matoušek — Matouskiem albo nawet Matuskiem itp.?

Nie chodzi tu zresztą tylko o spikerów. Jest rzeczą zadziwiającą, że prze- ciętyny Polak z zasady nie respektuje dźwiękowej wartości znaków diakrytycznych, chociaż właśnie grafika polska ma bogato rozwinięty system tychże znaków. Uprzytomnijmy sobie tylko: 9 liter, czyli przeszło 1/3 alfabetu może przybierać znaczki diakrytyczne, znaczków tych są 4 rodzaje, ich obecność lub brak decyduje o znaczeniu wyrazu, np. sad i sąd, zadanie i żądanie, można nawet znaleźć wyrazy, których każda litera opatrzona jest dodatkowym znakiem, np. żółć. A mimo to prasa, radio, ba, nawet wydawnictwa encyklopedyczne nie umieją dać sobie rady z dźwiękową wartością znaków

diakrytycznych, używanych przez naszych słowiańskich przyjaciół i pobratymców. Jeśli o spikerów chodzi, to nieosiągalnym wręcz marzeniem byłby postulat wymawiania długich samogłosek, w tekstach czeskich i słowackich, wyraźnie zaznaczonych kreseczką nad odpowiednią literą. Czyż to takie trudne?

1. Nie wiem, czy to zwykła niedbałość, czy może wynik narzuconego spikerem odróżniania dźwięcznego i bezdźwięcznego h i ch (a odróżnianie to jest dla większości Polaków sztuczne, stąd możliwość pomyłek), dość, że często słyszymy z głośników jakieś półdźwięczne, osłabione h, zwłaszcza między samogłoskami, np. zahodni, wyhodzi itp. Takie osłabione, niemal zanikające h słyszę prawie zawsze w nazwie: Niemcy Zachodnie (tzn: zaodńe). W niektórych gwarach małopolskich (i innych) jest to zjawisko znane, ale trudno je zaakceptować, skoro chodzi o radiowego spikera.

Ostatnia moja uwaga dotyczyłaby zbyt częstych przejęzyczeń się, wyrazowych lub głoskowych pomyłek, które nie najchlubniej świadczą o koncentracji naszych skądinąd niewątpliwie sympatycznych i pożytecznych pracowników radia i telewizji.

*Andrzej Sieczkowski*

*RECENZJE*

**Stanisław Urbańczyk: Nazwy naszych stolic. Wrocław-Warszawa-Kraków. 1965. Biblioteczka Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, nr 17.**

**Jedną z ostatnich pozycji Biblioteczki Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego jest praca prof. Urbańczyka: „Nazwy naszych stolic”. W tytule użyto rzeczownika w liczbie mnogiej stolic, ponieważ poza nazwą Warszawa omówiono nazwy poprzednich stolic Polski, a także stolic samodzielnych państewek wcielonych następnie do państwa Piastów.**

**Praca ma charakter popularno-naukowy i przeznaczona jest dla szerokiego kręgu miłośników języka polskiego. Autor ustala na wstępie przedmiot onomastyki i toponomastyki, omawia najważniejsze sposoby powstawania nazw miejscowych oraz wskazuje trudności, które napotykają w swej pracy onomaści. Następnie analizuje 12 nazw: Warszawa (której poświęca najwięcej miejsca) Kraków i Wawel, Poznań, Sandomierz, Wrocław, Szczecin, Gniezno, Płock, Gdańsk, Wiślica, Kruszwica. Przy poszczególnych nazwach przytoczono i poddano krytyce istniejące hipotezy dotyczące ich powstania. Są to zarówno związane z nazwą legendy i tzw. ludowe etymologie, jak i próby niefortunnych objaśnień naukowców (np. wywodzenie przez historyków nazwy Gniezno od wyrazu kneź, który w polszczyźnie nigdy nie występował). Autor powołując się na stare zapisy nazwy ustala jej pierwotną postać i przyczyny zmian w brzmieniu. W analizie semantycznej uwzględnia słownictwo staropolskie. Odwołuje się także do materiału porównawczego słowiańskiego. Analizę słowotwórczą ilustrują liczne przykłady formacji analogicznych.**

**Po omówieniu wszystkich nazw autor dzieli je na dwie grupy: 1) nazwy młodsze, pochodzące od imion osobowych założycieli albo właścicieli: Warszawa (Warsz), Kraków (Krak), Poznań (Poznan), Sandomierz (Sędomir), Wrocław (Wrocisław), 2) nazwy informujące o wyglądzie miejsca, o właściwościach topograficznych: Gniezno, Gdańsk, Wiślica, Kruszwica. Uzupełnieniem pracy jest załączona literatura przedmiotu.**

**Książeczka prof. Urbańczyka w sposób jasny i przystępny informuje o tym, co współczesna onomastyka wie o pochodzeniu nazw naszych miast.**

*Anna Pasoń*

**Polszczyzna piękna i poprawna. Ossolineum 1966. Wybór i opracowanie S. Urbańczyka.**

**Wydana niedawno po raz drugi książka: „Polszczyzna piękna i poprawna” zawiera obszerny wybór artykułów i porad, drukowanych w „Języku Polskim” do 1964 r.**

**Pozycja ta wykracza poza ramy tradycyjnego poradnika, zgromadzono w niej bowiem nie tylko szczegółowe wypowiedzi znawców, dotyczące konkretnych wątpliwości językowych, ale także szereg rozprawek i uwag o charakterze ogólniejszym.**

**Zbiór otwierają dwa artykuły teoretyczne: J. Landego: „W sprawie polityki językowej” oraz Z. Klemensiewicza: „Poprawność i pedagogika językowa”, poruszające problem ingerowania w życie języka.**

**J. Lande zarzuca lingwistom, że „nieco zbyt gorliwie przejmują się koncepcją obowiązującej zgodności między opisem faktów a normowaniem, nieco zbyt skromnie, często wbrew własnemu poczuciu językowemu, kapitulują wobec rozpowszechniania się form, wczoraj za błędne uważanych”. Taka neutralna postawa jest o tyle niebezpieczna, że nie sprzyja bynajmniej koniecznej trosce o czystość i poprawność naszej mowy, a nawet sankcjonuje niejako szerzenie się w społeczeństwie niechlujstwa i nieodpowiedzialności językowej.**

**Fakt ustalania przez językoznawców norm, zdaniem Autora, upoważniać ich powinien do świadomego wpływu na system języka, do prowadzenia aktywnej „polityki językowej”, polegającej na zwalczaniu lub co najmniej hamowaniu tendencji błędnych, a popieraniu i popularyzacji form poprawnych.**

**Z. Klemensiewicz w odpowiedzi na artykuł J. Landego konstatuje, że większość jego postulatów i zarzutów wynika z niepełnego zrozumienia istoty języka i procesów w nim zachodzących.**

**Ponieważ nasze narzędzie porozumiewania się jest tworem zmiennym, wymykającym się świadomej kontroli i oddziaływaniu, a przy tym niedostępnym w całości każdej jednostce mówiącej, językoznawca wobec nowych faktów „może i powinien zająć stanowisko ścisłej neutralności”. Jedynie w wypadkach oczywistych błędów, tzn. braku zgodności między daną formą a systemem językowym i jego tendencjami, ma prawo orzec niepoprawność. Wobec pozostałych zjawisk winien zachować daleko posuniętą ostrożność i raczej uznać dwie formy za równouprawnione, niż którąś z nich potępić.**

**Jednakże nawet negatywna opinia językoznawcy pozostaje „tylko orzeczeniem rzeczoznawcy i poradą nauczyciela, a nie obowiązującą ustawą”, tym bardziej, że ocenie podlegają zazwyczaj nie błędy, a raczej wahania językowe, wywodzące się z jednoczesnego działania mechanizmów tradycyjnych i nowatorskich. Stąd też gramatyk powinien być raczej pedagogiem, kształcącym świadomy i odpowiedzialny stosunek społeczeństwa do własnego języka.**

**Umieszczenie omówionych powyżej artykułów na wstępie interesującej nas książki jest bez wątpienia zabiegiem pożytecznym. Po pierwsze, wprowadza to czytelników w ciekawe i istotne dla tej dziedziny zagadnienia teoretyczne, umożliwia, jak pisze we wstępie S. Urbańczyk, „dostęp do kuchni lingwistycznej”, a po drugie — informuje o ogólnych metodach i kryteriach, stosowanych w dalszej części książki do interpretacji poszczególnych faktów językowych.**

**Pierwsza grupa artykułów i wypowiedzi przedstawia wybrane problemy poprawnościowe, obejmujące jednocześnie różne aspekty języka. („Różnice między językiem królewiackim a galicyjskim”, „Z wahań bieżącego języka”, „Jak oddawać obcojęzyczne sposoby przemawiania do drugich”). Nasuwają się tu wątpliwości, czy zamieszczone pozycje dotyczą zagadnień aktualnych, żywotnych a zarazem interesujących przeciętnego użytkownika języka, do którego głównie adresowana jest książka.**

**Prowincjonalizmy na przykład są chyba dziś zagadnieniem dość marginalnym i nie stwarzającym specjalnych kłopotów, skoro za słuszną postawę przyjmujemy tolerancję. Wobec nich, a nawet pewną sympatię. Podobnie rozważania o tłumaczeniu form zwracania się do ludzi (pan, pani, ty itp.) na języki obce i vice versa, wydają się zbyt specjalistyczne.**

**Poruszanie spraw tego typu pozwala jednak na zorientowanie się w rozmaitości i szerokim zakresie problematyki językowej.**

**Pozostałe wypowiedzi, porady i uwagi podzielone zostały według następujących działów: słownictwo (z uwzględnieniem także słowotwórstwa i frazeologii), składnia, odmiana wyrazów, wymowa wraz z variami oraz oddzielnie wyodrębnione nazwy i nazwiska (pisownia, odmiana, tworzenie wyrazów pochodnych).**

**Każdy dział poprzedzony jest rozprawkami ogólniejszymi (np. słownictwo — „W sprawie terminologii matematycznej”, „W sprawie wyrazów obcych”, „Rusycyzmy”**

**itp.), co pozwoliło na uniknięcie pewnej fragmentaryczności i braku integracji materiału, jaka grozi wydawnictwom tego typu.**

**Teoretyczno-ogólny charakter tych wypowiedzi informuje o ważniejszych problemach i kryteriach poprawnościowych w danej dziedzinie języka, przeczytanie książki ukazuje więc w jakimś stopniu cały system językowy i umożliwia często czytelnikowi samodzielne znalezienie odpowiedzi na szczegółowe kwestie.**

**Konkretne porady językowe nie zawsze dotyczą faktów współczesnych, często poruszane są tu sprawy żywotne w latach dwudziestych, trzydziestych, co zresztą wynika stąd, że „Polszczyzna pięknia i poprawna” jest także przeglądem działalności „Języka Polskiego” na przestrzeni lat i ukazuje pracę nad poprawnością języka w perspektywie historycznej.**

**Na ogół jednak większość omawianych zagadnień nie straciła swej aktualności do dziś, niektóre błędy plenią się bowiem w języku szczególnie uporczywie, np. niewłaściwe użycie spójnika a w zdaniach przeciwstawnych, któremu poświęcono artykuły w 1925 i 1964 r., czy tworzenie niepoprawnych złożeń rzeczownikowych typu równorzędnego („Wodogaz”) w nazwach przedsiębiorstw. Innym novum omawianej publikacji jest zamieszczanie wypowiedzi polemizujących ze sobą, bądź uzupełniających podane fakty, np. wspomniane artykuły J. Landego i Z. Klemensiewicza, czy K. Nitscha i B. Pawłowskiego o nazwach roślin.**

**Intencją wydawcy było w tym wypadku uświadomienie czytelnikowi trudności i złożoności problematyki poprawnościowej. Zasada udostępniania nie-specjalistom tajników danej gałęzi wiedzy jest na pewno słuszna, powinna być jednak stosowana tylko wówczas, o ile książka ma trafić do odbiorcy bardziej wyrobionego. Zdarzyć się może bowiem, że nie obeznany z tą dziedziną czytelnik pogubi się w zbyt specjalnych dociekaniach i zamiast znalezienia odpowiedzi na swoje wahanie — odłoży książkę z poczuciem jeszcze większej niepewności. Do sprawy tej powrócimy jeszcze w zakończeniu niniejszych rozważań.**

**Ponieważ nie sposób zreferować tu wszystkich spraw, omawianych w książce, przyjrzyjmy się jeszcze na paru konkretnych przykładach stanowisku autorów poszczególnych porad językowych, drukowanych w omawianym zbiorze.**

**Jak już była o tym mowa, teoretyczne podstawy udzielanych odpowiedzi sformułowane we wstępnym artykule Z. Klemensiewicza, odbiegają od puryzmu i dogmatyzmu językowego.**

**Autorzy porad na ogół dość konsekwentnie kierują się tym tolerancyjnym kryterium, unikają bowiem zazwyczaj kategorycznego przesądzania, która z dwu form jest poprawniej sza, kładąc raczej nacisk na wyjaśnienie ich pochodzenia i odniesienie do tendencji w systemie językowym. Oto na przykład odpowiedź, dotycząca biernika lp. zaimków ta, tamta: przynajmniej obok tę, tamtą, wolno pisać i mówić tą,tamtą. Z punktu widzenia naukowego jest to nawet zrozumiale jako dalszy ciąg zamiany dawniejszych moję, naszę, sarnę przez moją, naszą, samą...”.**

**Dla porównania cytat z „Naszego języka powszedniego” S. Reczka: „dowodem kultury językowej mówiącego jest jednak używanie w mowie i piśmie historycznie uzasadnionej formy tę” oraz ze „Słownika polskich błędów językowych” Słońskiego: „tę stronę, nie tą stronę”.**

**Tendencja do wyczerpującego wyjaśnienia przeważa nad rygorystycznym potępianiem w większości zebranych w książce wypowiedzi na temat wątpliwych wyrazów, zwrotów i form. Piętnowane np. często w prasie wyrażenia typu „na ile ta kiełbasa?” zostają tu wyprowadzone od dawniejszych form „na grosz dwa jabłka”, „sukno na trzy ruble łokieć”, a następnie powiązane z ekspansją w języku nie literackim przyimka na. Autor wypowiedzi (W. Śmiech) nie orzeka ostatecznie zdecydowanej nie- poprawności tych zwrotów.**

**Dążenie do szczegółowej i skrupulatnej interpretacji powoduje, że niektóre wy-**

3 Poradnik językowy nr 4/67

**powiedzi są jak gdyby podręczną monografią historyczno-językową danego zagadnienia (np. tworzenie i odmiana nazwisk żeńskich, składnia liczebników).**

**„Polszczyzna piękna i poprawna” jest pozycją, która powinna szczególnie zainteresować bardziej wyrobionych czytelników — „rzetelnych miłośników języka polskiego, którzy chcą ponadto wiedzieć, dlaczego zapada taki, a nie inny wyrok”[[70]](#footnote-70).**

**Zamieszczone artykuły teoretyczne, dokładne i obszerne omówienia poszczególnych zagadnień, wyrazów i form, przyniosą z pewnością wiele nowych informacji i umożliwią samodzielne roztrząsanie problemów poprawnościowych odbiorcom książki. Niezbędne jest tu jednak choćby elementarne przygotowanie językowe, bez którego część artykułów może się okazać niezrozumiała lub nawet wywołać pewien zamęt.**

**Ponieważ jednak „Polszczyznę piękną i poprawną” poprzedza szereg wydawnictw o charakterze poprawnościowym, książka ta może z pewnością liczyć na szeroki krąg odbiorców.**

***CO PISZĄ O JĘZYKU?***

**Jednym z podstawowych czynników określających świadomość narodową jest język. Temu właśnie problemowi poświęca prof. dr Z. Klemensiewicz swój artykuł pt. Rola języka polskiego w obronie polskości na Śląsku, ogłoszony w Trybunie Robotniczej z 28—29 I 1967 r. Autor na wstępie wskazuje na to, że akcja germanizacyjna polskich ziem zachodnich przejawiała się przede wszystkim w prześladowaniu języka polskiego. Najbardziej wymownym dowodem tego są dzieje języka polskiego na Śląsku. Wiadomo, że od czasów najdawniejszych cały Śląsk był zamieszkiwany przez plemiona polskie. Dopiero w średniowieczu zaczynają osiedlać się tutaj pierwsi koloniści niemieccy. Z czasem napływ osadników niemieckich wzrósł do tego stopnia, że na zachodnich krańcach Śląska przybysze zaczęli liczbowo dominować nad polską ludnością autochtoniczną. Jednakże jeszcze w XVIII w. cały Śląsk na wschód od Wrocławia, a więc powiaty: niemodliński, brzeski, namysłowski, sycowski, oławski i trzebnicki, był czysto polski. Według świadectwa H. Kołłątaja we wszystkich kościołach wrocławskich w tym czasie kazania były co drugą niedzielę wygłaszane po polsku. W 1616 r. autor gramatyki języka polskiego, Roter pisał: Tutaj u nas we Wrocławiu jako też na całym Śląsku, język polski obok niemieckiego jest najniezbędniejszy i najpożyteczniejszy.**

**Konsekwentne i systematyczne prześladowanie języka polskiego na Śląsku rozpoczyna się za panowania Fryderyka II, który w 1764 roku wydał zarządzenie usuwające język polski z urzędów, szkół i kościoła. Postanowiono wtedy, że ,,(...) rdzennie polscy nauczyciele szkolni winni być usunięci, a ich miejsca winny zostać obsadzone ludźmi umiejącymi po polsku i po niemiecku, a przeto zdolnymi uczyć młodzież po niemiecku”. Tendencje germanizacyjne nasiliły się jeszcze bardziej w XIX w. W latach 1872—74 usunięto język polski ze szkół średnich, w roku 1887 — ze szkół podstawowych, a od 1900 r. nawet nauczanie religii odbywało się po niemiecku. Niemczono polskie nazwy miejscowości, zabroniono używać języka polskiego na zebraniach i zgromadzeniach w tych powiatach, gdzie Polacy stanowili mniej niż 60% ludności, zabroniono wreszcie mówić po polsku w domu. Mówi o tym m.in. poeta śląski, Kania:**

*A Hitler to już miał najwredniejszą głowę,*

*Od razu zakazał wszystką polską mowę;*

*Ponieważ szpiegowie pod okna chodzili,*

*To ludzie po cichu do siebie mówili.*

*Czy to tam był pogrzeb lub też weselisko,*

*Czy to tam daleko lub u siebie blisko,*

*Ani słowa po polsku — rozkaz był surowy.*

**Mimo tak wielkiego nacisku lud śląski nigdy nie został zgermanizowany, najlepszym dowodem tego trzy zbrojne powstania. Dziś — podobnie jak przed laty — mowa polska znów rozbrzmiewa w wsiach i miastach całego Śląska. „Dola słowa rodzimego — kończy prof. dr Z. Klemensiewicz — zależy dziś już od nas samych: dbajmy o nie jako o drogocenny spadek minionych wieków, jako o niezawodne świadectwo wielkości i trwałości narodowej kultury”.**

\*

**Interesuące uwagi na temat zróżnicowania stylistycznego nazw mieszkańców Warszawy zamieszcza prof. dr B. Wieczorkiewicz w Trybunie Ludu z dnia 8 I 1967 r. w artykule pt. Pogaduszki warszawskie. Autor jadąc taksówką, wysłuchiwał narzekań taksiarza, rodaka warszawskiego na pewnego pasażera, który chciał pouczać kierowcę, którędy najwygodniej przejechać z Placu Trzech Krzyży na ul. Puławską. Rozgniewany kierowca mówił: Uważasz pan, on mnie rodowitego warszawiaka z krwi i kości, uczyć będzie, jak mam jechać. Panie, to nie warszawiak, to warszawiak z oranego, trep z prowincji. Za morgi kupił mieszkanie, a węgiel na zimę w wannie trzyma. To nie warszawiak — to warszawianin!**

**Z przytoczonej wypowiedzi wynika, że dla mówiącego formą neutralną jest forma warszawiak, natomiast warszawianin jest formą nacechowaną stylistycznie, formą z lekceważącym odcieniem znaczeniowym. W polszczyźnie literackiej jest odwrotnie: formą neutralną jest warszawianin, formą mającą pewne „zacięcie” — jak to określa prof. dr W. Doroszewski w książce pt. O kulturę słowa, s. 616 — jest warszawiak. Jeszcze w XIX wieku forma warszawiak miała ujemne zabarwienie stylistyczne. S. B. Linde pisał: warszawianin «z Warszawy rodowity» (...). Z przyganą, zgrubiałe warszawiak. „Pobieżne przyjrzenie się historii tego wyrazu (wyrazu warszawiak — M. Sz.) — pisze prof. dr W. Doroszewski — pozwala zauważyć, że miał — a przynajmniej miewał — on kiedyś jako formacja znaczenie ujemne, potem zaś jego zaakcentowana niejako rubaszność przekształciła się w treść raczej dodatnią. Nie używana jest tylko ściśle mu odpowiadająca forma żeńska warszawiaczka, w której dawałoby się wyraźnie odczuć niechęć do tak nazywanej osoby. Mówi się tylko o warszawiankach”.**

**Prof. dr B. Wieczorkiewicz wspomina o jeszcze jednej, formie określającej mieszkańca Warszawy mianowicie o formie warszawista. Jest to nazwa nacechowana ujemnie, używana przez krakowian nie mogących przeboleć, że stolicą kraju jest nie Kraków, lecz Warszawa. Autor kończy swój artykuł słusznym stwierdzeniem, że bez względu na to, jakiej formy używamy lub jaką formą jesteśmy określani wszyscy kochamy naszą stolicę i wszystkim nam serce rośnie, gdy ona rośnie.**

\*

**Wiele dzienników ukazujących się zarówno w stolicy, jak i w miastach wojewódzkich prowadzi stały kącik językowy. Na czoło wysuwają się w tym zakresie takie ośrodki, jak Warszawa, Kraków, Łódź, Poznań i Wrocław. Jest to inicjatywa godna ze wszech miar poparcia. Miło nam odnotować, że ostatnio stała rubryka poświęcona sprawom języka polskiego została zapoczątkowana w Chłopskiej Drodze. Rubryka ta nosi tytuł Gawędy o języku; jest ona redagowana przez dr Jadwigę Chludzińską, adiunkta Katedry Języka Polskiego UW. W styczniu br. ukazały się dwa odcinki tych gawęd. W pierwszym z nich autorka omawia tysiąclecie naszej tradycji językowej, informuje o najstarszym zabytku języka polskiego, czyli o tzw. Złotej Bulli z roku 1136 oraz o najstarszym zdaniu polskim z roku 1270. Drugi odcinek jest poświęcony terytorialnemu zróżnicowaniu gwar ludowych oraz stosunkowi gwar ludowych do języka literackiego. Problematyak ta z pewnością zainteresuje czytelnika Chłopskiej Drogi. Nowo powstałej rubryce życzymy powodzenia.**

\*

**Słowo Ludu z 31 XII 1966 r. zamieszcza artykuł mgr K. Długosz-Kurczabowej pt. Jak powstały Kielce? Chodzi tu o etymologię wymienionej w tytule nazwy. Autorka słusznie nazwę tę wiąże z wyrazem kieł, występującym na oznaczenie zęba u ludzi lub zwierząt oraz na oznaczenie wyrastającego pędu u roślin (por. kiełek, kiełkować). Budowa słowotwórcza tej nazwy jest przejrzysta: nazwa ta została utworzona przyrostkiem -ec, który w liczbie mnogiej przybiera postać -ce. Mniej oczywista jest natomiast interpretacja znaczeniowa. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z nazwą topograficzną.**

**Znaczeniowo i słowotwórczo nazwa Kielce przypomina nazwę podwarszawskiej miejscowości Ząbki.**

*\**

**Tygodnik Wieści w swej stałej rubryce Skąd te nazwy? w opracowaniu Władysława Lubasia zamieścił w styczniu br. dwa odcinki. Pierwszy z nich (z dnia 1.1.1967 r.) dotyczy etymologii i budowy słowotwórczej nazwy Odrowąż. Jest to nazwa wsi leżącej na Podhalu. Pierwsze wiadomości o tej wsi pochodzą z 1604 r. W dokumencie łacińskim jest następująca wzmianka: wieś nasza Odrowąż nazywana Stawianiec. Wynika z tego, że jeszcze w XVII wieku wieś ta miała dwie nazwy: jedną potoczną Stawianiec i drugą uroczystą, urzędową Odrowąż. Z czasem nazwa Stawianiec na oznaczenie miejscowości wyszła z użycia. Natomiast jest ona do dziś znana każdemu góralowi jako nazwa pospolita, oznaczająca przenośny płot z desek używany do ochrony przed wiatrem przy robotach w polu. Nazwa Odrowąż na określenie miejscowości została przeniesiona z nazwy herbu właścicieli, do których omawiana miejscowość należała. Z punktu widzenia znaczeniowego nazwa ta jest przejrzysta, oznacza ona odzierającego węże; analogiczne pierwiastki znaczeniowe spotykamy w takich nazwach miejscowych, jak Odrzykoń, Odrzywół, Krowodrza. Natomiast z punktu widzenia słowotwórczego nazwa ta jest wyjątkowa. Prawidłowo powinna ona brzmieć Odrzywąż lub Wężodar (por. cytowane wyżej nazwy Odrzykoń, Odrzywół oraz nazwę pospolitą koniokrad). Typ słowotwórczy, w którym w wyrazach złożonych pierwszym członem byłby rdzeń czasownikowy, a drugim rdzeń rzeczownikowy, przy czym oba człony byłyby połączone spójką -o-, a więc typ kradokoń, w języku polskim nie istnieje. Wyraz Odrowąż powstał więc prawdopodobnie przez analogię do takich imion staropolskich, jak Białowąs, Częstomir, Drogomił, Gniewomir, Mirosław itd.**

\*

**W drugim odcinku z dnia 29 I 1967 r. autor zajął się etymologią nazwy Mazowsze. Punktem wyjścia rozważań autora jest forma łacińska, która została poświadczona już w XI w., a która brzmi Mazovia. Na tej podstawie autor sądzi, że pierwotna forma polska brzmiała Mazów. Forma ta została zdaniem autora utworzona do przezwiska Maz, oznaczającego człowieka brudnego, umazanego błotem. Przezwisko Maz jest poświadczone w dokumentach średniowiecznych. Jednakże Mazów oznacza nie posiadłość Maza, a więc nie jedną miejscowość, lecz całą krainę. Dlatego też dr W. Lubaś sądzi, że Mazów może oznaczać cechę topograficzną, a więc tereny brudne, zamazane, błotniste. Dopiero w XVI wieku pojawiły się formy Mazosze i Mazowsze. Pierwsza z nich została utworzona prawdopodobnie od nazwy mieszkańca, która brzmi Mazoch. Druga natomiast jest niejasna. A. Bruckner sądzi, iż mamy tutaj do czynienia z rdzeniem dawnego zaimka uogólniającego wszy, wszą, wsze zachowanego do dziś w języku polskim w wyrażeniu wszem i wobec. Swoistość formy Mazowsze zdaniem A. Brucknera polega na tym, że rdzeń zaimkowy występuje jako drugi, a nie jako pierwszy człon złożenia. W związku z tym A. Bruckner pisze: „Zamiast Mazowie (jak Kociewie) mamy dziwaczne złożenie ze wsze-, bo nie przed, lecz po mazo- wstawione, ale są podobne i inne, np. Katowsze” — Słownik etymologiczny języka polskiego, s. 326. Interpretacja A. Brucknera chociaż bardzo sugestywna nie jest w pełni przekonywająca. Przede wszystkim wydaje się mało prawdopodobne, by w XVI wieku mogło powstać tego rodzaju złożenie z zaimkiem wszy jako drugim członem. Dlatego też o wiele bardziej przekonywająca wydaje się teza prof. dra S. Hrabca, który w swym wnikliwie opracowanym i wszechstronnie oświetlającym problem artykule sądzi, iż forma Mazowsze powstała z kontaminacji dwu form: Mazowia i Mazosze.**

**Ilustrowany Kurier Polski z dnia 17 I 1967 r. zamieszcza artykuł pt. Bernard Sychta — pisarz, dialektolog i etnograf kaszubski. Bardzo dobrze się stało, że zostały przypomniane społeczeństwu zasługi tego wybitnego pisarza regionalnego i naukowca. Ks. Bernard Sychta urodził się w Puzdrowie, pow. kartuski w 1907 r. Szkołę średnią ukończył w Wejherowie, a studia teologiczne w Pelpinie, gdzie od 1948 roku jest proboszczem. Doktoryzował się w Uniwersytecie Poznańskim w 1947 r. w zakresie etnografii na podstawie pracy pt. Materialna kultura Borów Tucholskich na tle etnografii kaszubskiej i kociewskiej. Ks. Sychta jest autorem wielu sztuk dramatycznych pisanych gwarą kaszubską. Najwybitniejszą z nich jest widowisko pt. Wesele kaszubskie. Sztuka ta zajmuje czołowe miejsce w dotychczasowej literaturze kaszubskiej. Jest to sceniczna synteza kaszubskich obrzędów i zwyczajów weselnych. Z zakresu dialektologii autor opublikował m.in. takie artykuły, jak Element morski we frazeologii kaszubskiej, Przezwiska u Kaszubów, Kaszubskie nazwy diabła. Najcenniejszą pozycją jest znajdujący się obecnie w druku Słownik gwar kaszubskich. Jest to dzieło imponujące, zawierające bogaty zbiór słownictwa ludowego całego regionu. Jest to wynik kilkudziesięciu lat żmudnej i trudnej pracy autora. Umiłowanie regionu kaszubskiego łączy się zawsze u ks. B. Sychty z akcentowaniem nierozerwalnej więzi Kaszub z Macierzą. Oto co mówi na ten temat ks. Sychta: Umiłowanie ziemi rodzinnej nie powinno prowadzić do mylnego patriotyzmu zaściankowego, do nienawiści innych ziem i ludów polskich, lecz przeciwnie — powinno nas jak najbardziej łączyć. Pokochajmy, co nam najbliższe, ale kochajmy całość: od rodzimej skiby do całej Polski. Kto sercem przylgnął do miejsca, gdzie stała jego kolebka, kto ukochał kulturę swego regionu, ten pogłębił w sobie uczucie narodowe i poczucie przynależności państwowej. Niech hasłem naszym będzie: z Polską były Kaszuby i z Polską pozostaną. Kaszuby przy Polsce, a Polska z Kaszubami. Ks. drowi Bernardowi Sychcie życzymy dalszych długich i owocnych lat pracy.**

\*

**Na zakończenie wiadomość, którą podał tygodnik Dookoła Świata z dnia 22 I 1967 r. Grupa lingwistów francuskich przeprowadziła eksperyment polegający na tym, że przy stole zasiadło 14 wybitnych tłumaczy, przy czym każdy z nich znał język swojego sąsiada z prawej strony. Tłumacze ci byli 14 różnych narodowości. Pierwszy z tłumaczy (Niemiec) napisał w swoim języku zdanie, które brzmiało: Sztuka warzenia piwa jest tak stara jak historia ludzkości i przekazał je swojemu sąsiadowi — Hiszpanowi. Ten przetłumaczył je na swój język ojczysty i przekazał z kolei swojemu sąsiadowi. W ten sposób zdanie to przeszło przez ręce wszystkich tłumaczy. Ostatni tłumacz (Węgier) przekazał tekst, który przetłumaczony przez pierwszego tłumacza na język niemiecki brzmiał: Od dawien dawna piwo jest jednym z najbardziej ulubionych napojów ludzkości. Jak widzimy, podstawowa myśl zawarta w zdaniu wyjściowym została poważnie zniekształcona.**

*M. Sz.*

*OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW*

*Dziś, dzisiaj*

Ob. Bogdan Czarnecki z Poznania prosi o autorytatywne określenie zasad używania wyrazów dzisiaj i dziś. Korespondent pisze, że w słowniku ortograficznym Arcta wydanym w 1927 r. podane są oba wymienione wyrazy, w słowniku natomiast Jodłowskiego— Taszyckiego opartym na uchwałach Komitetu Ortograficznego z 1936 r. umieszczony jest tylko wyraz dzisiaj. W fakcie tym korespondent skłonny jest, zdaje się, widzieć dowód, że forma dzisiaj jest bardziej godna polecenia niż dziś.

Tak nie jest. Przyczyna, dla której w słowniku ortograficznym opuszczona została forma dziś, jest prosta i nie ma związku z oceną stylistycznej wartości tej formy: jest to po prostu forma, która nie może wywoływać żadnej wątpliwości co do tego, jak ją należy napisać. Inaczej niż dziś napisać nie można i dlatego jest to forma w słowniku ortograficznym zbędna. Wyraz dzisiaj bywa czasem, nawet dość często, wymawiany dzisiej (tak samo jak tutej, dej mi zamiast daj mi), więc żeby ktoś tej swobodnej, mało starannej wymowy nie utrwalił w piśmie, forma dzisiaj została w słowniku ortograficznym umieszczona. Nie jest ona lepsza od dziś. Obie formy spotykamy w tym samym zdaniu u Norwida bez żadnej widocznej różnicy stylistycznej: „nie dzisiaj więc jest nasze, jak zwykle mówią, ale wczoraj i onegdaj, a dziś warunkowe bardzo”. W przysłowiach i żartobliwych zwrotach używana jest raczej forma dziś, na przykład: „Dziś mnie, jutro tobie”, „dziś pod wozem, jutro na wozie”, „dziś na pieniądze, jutro za darmo”. Zawsze należy pamiętać o tym, że słownik ortograficzny jest po to, żeby informować, jak się powinno pisać wyrazy, a nie, jaki z nich robić stylistyczny użytek.

*Zeznanie co do okoliczności*

Ob. Idalia Matlakowska z Warszawy pyta, czy poprawny jest zwrot „przesłać zeznania na okoliczność”, który jest umieszczony na drukowanych kartkach rozsyłanych przez jedną z instytucji miejskich.

Jest to zwrot w środowisku prawniczym dość często, zdaje się, używany, ale niezbyt poprawny. W Słowniku poprawnej polszczyzny Szobera pod hasłem zeznanie w znaczeniu «składanie świadectwa w Sądzie» umieszczone jest wyrażenie „zeznanie co do okoliczności” z uwagą w nawiasie: „nie: na okoliczność”. Zwrot iść w tysiące (o pieniądzach) nie należy do frazeologii starannej i jest rażący. Jest to nie rusycyzm, bo w języku rosyj-

skim odpowiedniego zwrotu nie ma, ale germanizm, dosłowne tłumaczenie zwrotu niemieckiego1: „das geht in die Tausende”. Zwrot „mianować kogo czym” jest poprawny i tradycyjny. W naszym nowym Słowniku Języka Polskiego mamy na ten zwrot przykłady z Krasickiego: „mianowany był konsulem”; Mickiewicza: „Cesarz go pułkownikiem dziś mianował”; Jeża: „mianuje siebie głównym (...) wojewodą”; Morcinka: „mianował ją (...) spadkobierczynią swego majątku”.

*Nastolatki*

Ob. M. W. z Olkusza porusza w liście kilka spraw, o których przeważnie miałem już sposobność mówić i pisać. Korespondent określa jako dziwoląg wyraz nastolatki, który się czasem słyszy i widzi w tekstach drukowanych.

Nie jest to właściwie dziwoląg, tylko wyraz żartobliwy, od niedawna się szerzący. Około dziesięciu lat temu, gdy kończyliśmy ekscerpcję źródeł do naszego nowego słownika, jeszcześmy w zasobie zarejestrowanych wyrazów nastolatków nie mieli, i dlatego nie zdążyliśmy go w słowniku umieścić. Zrobimy to w Suplemencie, to znaczy w tomie ostatnim, uzupełniającym. Nastolatki to skrót kilkunastolatków, a więc określenie odnoszące się do osób bardzo młodych, mających liczbę lat, której nazwa kończy się na -naście. Na utworzenie wyrazu nastolatki miała wpływ forma angielska teen- agers (liczba mnoga): -teen jest takim zakończeniem liczebników angielskich od trzynastu o|d dziewiętnastu (thirteen, fourteen i tak dalej) jak u nas naście (trzynaście, czternaście — co kiedyś oznaczało: trzy ponad dziesięć, cztery ponad dziesięć) i tak dalej. Teen-agers znaczy po angielsku «osoby będące w wieku dającym się określić za pomocą liczebników kończących się na -teen», a więc jak u nas analogicznie nastolatki. Przy sposobności pewna uwaga i prośba do słuchaczów (oraz okolicznościowy komentarz do tej prośby: mówię słuchaczów, wiele osób używa formy tych słuchaczy, ale Kochanowski pisał o poecie, który „słuchaczów próżny gra za płotem”. Jeżeli nawet forma słuchaczy wykazuje jak gdyby skłonność do szerzenia się, to jednak formy słuchaczów mającej za sobą bardzo dawną tradycję, nie należy unikać, a tym bardziej wyświecać z języka). Otóż prośba moja do słuchaczów polega na tym: bardzo byłbym wdzięczny każdemu, kto by zechciał poinformować mnie, kiedy i w jakim tekście zetknął się po raz pierwszy z wyrazem nastolatki. W słownikach należy rejestrować dane dotyczące historii wyrazów. Jeżeli chodzi o przeszłość, odtworzenie początku, pierwszej chwili ukazania się wyrazu w języku jest bardzo trudne, często niemożliwe. Łatwo jest natomiast — pod warunkiem, że pracę uda się skoordynować, zorganizować — rejestrowanie wyrazów powstających w naszych czasach, w epoce, w której żyjemy. Zanim ta epoka stanie się przeszłością, powinniśmy zapisywać jej tworzącą się historię, bo ci, którzy przyjdą kiedyś, nie zawsze będą mogli dobrze to zrobić. Jest to szczególnie oczy-

wiste w odniesieniu do historii wyrazów. Językiem interesuje się wiele osób. Dobrze by było, gdyby się to zainteresowanie wyrażało nie tylko w reagowaniu na błędy językowe, ale i w czynnym współdziałaniu z tymi, którzy pracują nad językiem. Opracowujemy między innymi słownik gwar Mazowsza i Podlasia. W pracy tej zawdzięczam bardzo wiele pomocy nauczycieli, z początku z okolic Płocka, później również innych okolic. W zakresie słownictwa ogólnopolskiego można by było spodziewać się wiadomości z całego obszaru Polski. Poprzestaję na razie na pytaniu o wyraz nastolatki, nie ze względu na jakąś jego szczególną ważność, ale dlatego, że ten szczegółowy fakt pozwala w tej chwili poruszyć pewne ogólniejsze doraźnie ważne sprawy. Nasz najwcześniejszy zapis nastolatków pochodzi z 1963 r., może kto ma dokumentację wcześniejszą?

*Problematyka*

Słuchacz z Białej Podlaskiej formułuje pytanie o niezupełnie wyraźnej treści. Korespondent chciałby się dowiedzieć, co właściwie znaczą słowa „wartość ideowa” oraz jaka jest wzajemna zależność między problematyką a wartościami ideowymi.

Jest w tym jakaś niejasność. Możliwe, że autor pada ofiarą jakiegoś nieprzejrzyście napisanego tekstu. Jest to tym prawdopodobniejsze, że wyraz problematyka jest dziś dość często nadużywany. Znaczy on właściwie «całokształt zagadnień wiążących się z jakąś dziedziną»; zagadnienia zaś to są pytania, które powstają w czyimś umyśle w związku z badaniem jakichś faktów, z zastanawianiem się nad nimi. Problematyka jest wynikiem pracy myślowej tego, kto usiłuje różne zagadnienia ze sobą wiązać. Zarówno poszczególne zagadnienia, jak i ich powiązania w pewne całości, czyli problematyka ogólna, kształtują się w obcowaniu myślowym z obiektywnym, faktycznym stanem rzeczy, ale problematyki z samym stanem rzeczy, będącym jej niejako podbudową, podłożem i oparciem, nie należy mieszać. Że ten prosty postulat nie zawsze bywa spełniany, tego dowodzi na przykład tak podtytuł pracy naukowej z dziedziny humanistyki: „Problematyka zagadnienia”. To połączenie wyrazów nie ma sensu, treść jego jest mętna: trzeba dążyć do rozgraniczenia myśli i tego, co jest jej przedmiotem, w problematyce zagadnienia natomiast wszystko się staje subiektywne. Korespondent pyta „czy problematyka stanowi część wartości ideowych?” To pytanie jest również przykładem operowania wyrazami w sposób niejasny. Trudno określić, co to jest wartość ideowa, w oderwaniu od wszelkiego kontekstu. Nie zostawiam pytania w ogóle bez odpowiedzi, bo jest ono w pewnym stopniu znamienne jako jeden z objawów braku jasności myślowej, z którego płyną wszelkie niedomagania w posługiwaniu się wyrazami.

Następne pytanie tego samego korespondenta: jak określić zamiennie słowo świadomość?

Lepiej wnikać w treść znaczeniową zastanawiającego nas wyrazu niż

oglądać się za tym, jakim innym wyrazem można go zastąpić. Hasło świadomość jest w ósmym, wydanym już obecnie tomie naszego Słownika. Można ten wyraz zdefiniować jako zdolność zdawania sobie sprawy w kategoriach pojęciowych z tego, na co kieruje się nasza uwaga. Ale na tej werbalnej (słownej) definicji rzecz się kończy. Co to jest jaźń? — W Słowniku Wileńskim (z roku 1861) można przeczytać — i nie jest to niedorzeczne, — że jaźń to „każde ja wzięte w kształcie rzeczownika” — to znaczy, najprościej mówiąc, że jaźń to rzeczownikowy odpowiednik zaimka ja, utworzony w sposób pod względem słowotwórczym dość szczególny, bo na przykład od zaimka ty formy rzeczownikowej tyźń nie utworzymy. Na naszym gruncie językowym forma jaźń powstała najprawdopodobniej jako próba przekładu pojęcia das Ich w filozofii Fichtego. Możliwe, że autorem wyrazu jaźń był Trentowski. W słowniku Lindego tego wyrazu jeszcze nie ma. Właśnie w takich wypadkach widać, jak byłoby dobrze, gdybyśmy rozporządzali zapisami współczesnych powstaniu słowa jaźń i mogli się z nich dowiedzieć, w jakim tekście przez kogo słowo to po raz pierwszy zostało użyte. Co do znaczenia, można określić jaźń jako «osobowość, podmiot zjawisk psychicznych». Z jaźnią łączy się czasem nastrój pewnej filozoficznej patetyczności, co się może tłumaczyć Fichtowskim rodowodem wyrazu i pojęcia. Pytanie ostatnie. W Poradniku gramatycznym Gaertnera, Passendorfera i Kochańskiego, wydanie piąte napisano „forma rozgrzeszyć jest, historycznie rzecz biorąc, nieprawidłowa (powinno być rozrzeszyć)”. Dlaczego? — Dlatego, że formą pierwotną tego czasownika była forma rozrzeszyć; forma ta znaczyła «rozwiązać» i była tłumaczeniem łacińskiego czasownika absolvere. Przez związek ze spowiedzią forma rozrzeszyć skojarzona została z grzechem i tak powstało rozgrzeszyć.

*Liczebniki porządkowe*

Doc. dr Zbigniew Raszewski, współredaktor „Pamiętnika Teatralnego”, w rozmaitych publikacjach i sprawozdaniach prasowych znalazł następujące formy wyrazu mającego oznaczać dwóchsetną rocznicę Teatru Narodowego w Warszawie: dwustulecie, dwusetlecie, dwóchsetlecie, dwieścielecie oraz jedną formę zawierającą w części pierwszej 200 napisane cyframi, a więc nie informującą o tym, jak to ma być wymówione. Korespondent nie ma wątpliwości co do tego, że forma dwieścielecie jest błędna, waha się jednak, która z form pozostałych jest dobra. Przeciętnemu poczuciu językowemu najbardziej odpowiada forma dwóchsetlecie, za nią też wypada się opowiedzieć. Przy sposobności można się przyjrzeć innym wyrazom używanym jako określenia rocznic, żeby się przekonać, jak mało jest monotonii w języku polskim. Wyrazy pięciolecie, dziesięciolecie, zawierają w części pierwszej liczebniki główne pięć, dziesięć połączone za pomocą elementu -o- z formą -lecie. W wyrazach dwudziestolecie, trzydziestolecie, czterdziestolecie składnikiem pierwszym jest temat liczebnika nie głów-

nego, ale porządkowego dwudziesty, trzydziesty, czterdziesty. W pięćdziesięcioleciu — i dalej aż do dziewięćdziesięciolecia — składnikiem pierwszym jest forma utworzona przez analogię do wyrazów pięciolecie — dziesięciolecie. Od pięciuset wzwyż składnik pierwszy zachowuje nie zmienioną postać pięćset, sześćset i tak dalej: mówimy pięćsetlecie, dziewięćsetlecie, mimo że budowa składniowa form pięćdziesiąt i pięćset jest taka sama, obie konstrukcje należą do typu związków rządu: dziesiąt jest takim samym historycznym dopełniaczem liczby mnogiej jak set. Na tysiącleciu zatrzymamy się, zostawiając potomnym troskę o to, jak nazwać rocznicę Państwa Polskiego, gdy od jego początków upłynie nie tysiąc lat, ale tysiąc dwieście, tysiąc trzysta. Trudno się dziwić cudzoziemcom, że gramatyka polska wydaje im się skomplikowana.

*Wielmożny pan* ***—*** *szanowny pan*

Mówiłem kiedyś — niezbyt dawno — o tym, że ci którzy adresując listy do znajomych przed wyrazem pan piszą wielmożny, robią to z niehumoru albo czasem przez snobizm. Zostałem niezupełnie dobrze zrozumiany przez Korespondentkę z Kępna Wielkopolskiego, która pisze, że chociaż ma poczucie humoru i nie lubi snobizmu, to jednak adresowanie „wielmożny pan” podoba jej się.

Niehumor nie znaczy „brak poczucia humoru”, tylko zły humor: miałem na myśli to, że używanie tytułu wielmożny może wynikać z pewnej przekory i być manifestacją czyjegoś niezadowolenia z demokratycznych czasów, w których dla wielmożnych panów zabrakło miejsca. Uzasadniając swój pozytywny stosunek do takiego tytułowania ludzi korespondentka pisze: „niech tylko Pan Profesor pomyśli, czy człowiek nie jest w zasadzie wielmożnym: może utoczyć krwi dla bliźniego, gdy zajdzie tego potrzeba, może polecieć w kosmos, może być dobrotliwym i wspaniałomyślnym, może w ogóle bardzo wiele... Czemu to wielmożny nie ma być taką sobie pamiąteczką, jak stara budowla?” — Czemu? Na to pytanie łatwo odpowiedzieć. Pamiątkowe budowle godne są szacunku, ale trzeba sobie wyraźnie zdawać sprawę z tego, co mamy tym szacunkiem otaczać, a także i z tego, że mgiełka oddalenia w czasie może różne rzeczy fałszować i że jednym z warunków postępu w języku — i nie tylko w języku — jest zdolność zapominania, o czym często mówił wielki językoznawca polski a zarazem bojownik o zasady sprawiedliwości w życiu społecznym Jan Baudouin de Courtenay. Jeżeli chodzi o treść, która w historii naszej łączy się z pojęciem wielmożnego pana, to należy ona do tych rzeczy, o których lepiej zapominać, których lepiej nie kontynuować, niż je przeżywać jako wzruszające wspomnienia. Interpretacja znaczenia przymiotnika wielmożny, podana w liście Korespondentki, jest oparta na budowie słowotwórczej tego przymiotnika, ale nie ma właściwie związku z tym, co ten przymiotnik znaczy w połączeniu wyrazowym wielmożny pan, poza którym nie jest on używany. Z wielmoż-

nym panem nie kojarzy się nam ani miłość bliźniego, ani rozmach myśli poznawczej, z którego się rodziły najpierw wizje a potem precyzyjne plany techniczne lotów w kosmos, ani dobrotliwość czy wspaniałomyślność w znaczeniu wielkoduszności. Kojarzyć się natomiast może z wielmożnym panem łatwo co innego, a mianowicie nieróbstwo, życie ponad stan z dochodów czerpanych nie ze swojej pracy, ale z cudzej, czyli życie kosztem cudzym. Ten rejestr można by było przedłużać, ale nie warto, bo go dobrze znamy. Wielmożnym panem w nauce był prezes Akademii Umiejętności przed pierwszą wojną światową profesor hrabia Stanisław Tarnowski, o którego „namaszczonej, chłodnej, pańskiej wyniosłości” wspomina w książce „Z Kamborni w świat” profesor Pigoń. Jest w tej książce charakterystyczna scenka: Autor jej jako student złożył pewną pracę profesorowi Ignacemu Chrzanowskiemu do oceny. Wypisał na tej pracy dedykację: „Jaśnie Wielmożnemu Panu”. „Ależ mię wyśmiał, pisze Pigoń, za galicyjską „tytułomanię”! Kazał wyskrobać napis i wpisać po prostu „Szanownemu Panu”. Profesor Chrzanowski, który wespół z innymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego znalazł się w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen i tam zginął, był poglądów konserwatywnych, idee rewolucyjne były mu obce, i jego jednak jaśniewielmożność w tytułach raziła, bo był z temperamentu demokratą i odczuwał ją jako przeszkodę w stosunkach ludzi z ludźmi. Dziś jest to już szczęśliwie przeżytek, do którego nie mogą się odnosić słowa poety, że to co ginie w życiu, powinno trwać w słowach i pamięci.

*Sowizdrzał, sowizdrzalski*

Inż. Jerzy Kubiatowski z Warszawy porusza kwestię pisowni wyrazu sowizdrzał i pochodnego sowizdrzalski. W wydaniu piątym Słownika Ortograficznego Jodłowskiego-Taszyckiego z 1957 r. podane są wymienione przed chwilą formy tych wyrazów, w niektórych publikacjach jednak, spotyka się formy sowiźrzał, sowiźrzalski — na przykład w tytule pracy Stanisława Grzeszczuka ogłoszonej w numerze 4 „Ruchu Literackiego” z 1965 r., który to tytuł brzmi: „Problematyka i ideologia literatury sowiźrzalskiej”. Korespondent prosi o wyjaśnienie, czy jest uzasadnione i celowe stosowanie dwojakiej pisowni wymienionych wyrazów.

Nie jest uzasadnione, bo chwiejna pisownia wywołuje zamęt, a co do tego, której z dwu obocznych form należy dać pierwszeństwo, którą zaś wyeliminować, nasuwałaby się uwaga taka, żeby mógł panować jakiś ład w sprawach praktyczno-pisowniowych, jak zresztą i w innych, każdy powinien robić to, co do niego należy. Obowiązkiem tych, którzy układają słownik ortograficzny, jest umieszczanie w nim form, za którymi przemawiają określone względy, znane autorom słownika i niesprzeczne z dyrektywami i rozstrzygnięciami odpowiednich fachowych instancji. Obowiązkiem tych, którzy piszą, jest używanie form zgodnych z tym, co jest po-

dane w słowniku. To jest bardzo prosta zasada i nawet nie byłoby warto jej formułować, gdyby nie to, że bywa ona naruszana nie tylko przez tych, którzy przepisów nie znają, ale i przez tych, którzy bez względu na istniejące normy wolą pisać po swojemu. Jeżeli „Słownik ortograficzny” podaje formy sowizdrzał, sowizdrzalski, to tych form należy używać, żeby nie marnować czasu na spory o drobiazgi. Można stwierdzić, że etymologicznie wcześniejsze i w pewnym stopniu bardziej uzasadnione pod względem słowotwórczym są formy sowiźrzał, sowiźrzalski — za chwilę wyjaśnię, dlaczego — ale ta ich historyczna lepszość nie wystarcza, żeby nas zmuszać do rezygnowania z form dziś utrwalonych, usankcjonowanych zwyczajem i przepisami. Spółgłoska d w formie sowizdrzał jest historycznie wtórna, zostawała ona wtrącona do grupy spółgłoskowej źrz-, tej samej, którą mamy w danym brzmieniu czasownika źrzeć, forma wielokrotna występująca tylko w połączeniach z przedrostkami (prefiksami) — spozierać, wyzierać. Sowiźrzał ukazał się na gruncie polskim jako tłumaczenie formy niemieckiej Eulenspiegel: Eule znaczy po niemiecku «sowa», Spiegel — «zwierciadło». Przekład polski nie jest zbyt wyrazisty, toteż pisownia tego wyrazu nie jest jakimś ważnym zagadnieniem. Jeżeli jednak ten sam autor wydaje jedną pracę pod wymienionym już tytułem „Problematyka i ideologia literatury sowiźrzalskiej”a drugą pod tytułem „Antologia literatury sowizdrzalskiej”, to czytelnik, który to zauważy, jest zakłopotany i nie wie, jak sam, w razie czego, miałby niepewny pod względem ortograficznym wyraz napisać. Tytuł pierwszy, mówiąc przy okazji, jest jedną z ilustracji nadużywania wyrazu problematyka: stosunek pojęciowy problematyki i ideologii nie jest jasny.

*Automatyka*

Inż. Kubiatowski zapytuje, czy w suplemencie do naszego nowego Słownika Języka Polskiego możliwe będzie dodanie komentarza do hasła automatyka, którego zakres użycia w ostatnich latach ogromnie się rozszerzył, wyraz ten stał się bowiem nazwą całej odrębnej specjalności naukowej.

Gdyby korespondent zechciał nadesłać do Redakcji Słownika swoje uwagi dotyczące terminu automatyka, bylibyśmy wdzięczni, bo oczywiście zależy nam na tym, żeby Słownik zawierał wiadomości i ścisłe, i aktualne. Wyrazy tranzystor, tranzystorowy w tomie IX słownika, opracowanym obecnie, są przewidziane. W tej kwestii również Redakcja z wdzięcznością przyjęłaby fachowe uwagi. Dotyczy to także przewidzianego w suplemencie terminu cybernetyka. Za życzenia bardzo dziękuję i odwzajemniam je.

*Ładunek*

Prof. dr Ignacy Tarski z Warszawy, specjalista w zakresie ekonomiki transportu, pisze, że niektórzy autorzy używają terminu ładunek jako obej-

mującego nie tylko przedmioty (towary), ale i pasażerów. W jednej z prac specjalnych znajduje się określenie: „transport przemieszcza ładunki żywe i martwe”. W tym sformułowaniu ładunki martwe są przeciwstawione istotom żywym, zwierzętom i ludziom. Korespondent sądzi, że wyraz ładunek może oznaczać tylko przedmioty martwe lub żywe w transporcie towarowym, a więc, jeżeli dobrze rozumiem, ładunkiem są zwierzęta lub rzeczy  
przewożone w wagonach towarowych, ludzie natomiast ładunkiem nie są.

Odpowiada to niewątpliwie powszechnemu zwyczajowi językowemu. Ładunkiem byli niewolnicy — Murzyni ładowani przemocą na statki dla tych, którzy uprawiali ten proceder. Towarzystwo zwierząt samo przez się ujmy człowiekowi nie przynosi; w pewnych okolicznościach ludzie mogą podróżować w wagonach towarowych razem ze zwierzętami. W carskiej Rosji wagony towarowe składające się na eszelon wojskowy mogły mieścić czterdziestu żołnierzy albo osiem koni, albo w odpowiednich proporcjach mniej jednych lub drugich. Ale na ogół, ludzie w środkach transportowych nie są umieszczani razem ze zwierzętami i większym bagażem, dlatego też opinia korespondenta, że ludzi nie należy zaliczać do ładunku wydaje się słuszna. Nawet w samolotach, gdy się waży bagaż, nie bierze się pod uwagę wagi pasażera, choć byłoby to logiczne, bo chodzi o to, żeby nie była przekroczona nośność samolotu. Zresztą tu już się wkracza w szczegóły techniczne: jeżeli obciążenie pomieszczeń pasażerskich w samolocie jest obliczane oddzielnie od obciążenia pomieszczeń bagażowych, to łączenie w jednej rubryce wagi ludzi i rzeczy nie jest potrzebne. Ale może — korespondent na tym zna się lepiej ode mnie — warunki transportowe wymagają czasem operowania jakimś pojęciem ogólnym — tego typu, co na przykład pojęcie nośności — w którym różnicowanie tego, co jest przewożone, nie ma znaczenia. W takim razie należałoby się oglądać za jakimś określeniem nadrzędnym w stosunku do wszelkich odmian przedmiotów transportu, niezależnie od tego, czy to będą rzeczy, zwierzęta, czy ludzie. Nie-specjalista takiej potrzeby nie widzi, korespondent ma w tym wypadku lepsze pole obserwacji kształtowania się pojęć i terminów w określonej dziedzinie pracy. Dawniej nie mieszano samochodu i wozu, dziś samochód bardzo często bywa wozem; do posługiwania się terminami o treści uogólnionej zmusza praktyka. Co do wyrazu ładunek, to jak powiedziałem, nie widać wyraźnej potrzeby rozszerzania znaczenia tego wyrazu na ludzi, wbrew utartemu zwyczajowi językowemu.

*Jak makiem siał*

Ob. Józef Mysyrowicz z Pruszkowa pyta, która z form przysłowia jest poprawniejsza: cicho było jak makiem siał czy też cicho było jak makiem zasiał. Według korespondenta lepsza jest i bardziej uzasadniona forma pierwsza jak makiem siał, bo wywodzi się ona stąd, że sam proces siania

maku, którego ziarnka są bardzo drobne i lekkie, odbywa się w sposób bezszelestny, niedosłyszalny, bardzo cichy. Stąd powstaje skojarzenie ciszy, o której mówimy, z samym procesem siania maku. Natomiast nic nie uzasadnia ciszy jako następstwa faktu, że mak został zasiany.

Odczucie korespondenta wydaje się trafne. Oprócz przykładu, który korespondent cytuje ze „Szkiców węglem” Sienkiewicza: w kancelarii wójta gminy cicho było jak makiem siał”, mamy w naszym nowym Słowniku przykład z Potopu: „Cisza uczyniła się jak makiem siał i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach”. Jako dokument językowy tekst z Sienkiewicza wart jest więcej od wielu innych możliwych tekstów. Z Dygasińskiego mamy przykład na: jak makiem zasiał. Podobną formę przytacza Adalberg w swej „Księdze przysłów” z Potockiego, a więc aż z XVII wieku: „Skoro matka weszła, jako zasiał makiem, choć dokąd igrał, żartował i broił”. W tejże Księdze znajdujemy i zwrot „jak maku zasiał” — w innym znaczeniu, widocznym z przykładu: „na odpuście było ludzi jak maku albo jak maku zasiał”, do czego Adalberg dodaje komentarz: „to jest ścisk, tłok, głowa przy głowie”. Może dwa różne zwroty: „jak makiem siał”, w znaczeniu bardzo cicho, i „jak maku zasiał” w znaczeniu bardzo wiele, ścisk, tłok skrzyżowały się ze sobą i skutkiem tego skrzyżowania stała się konstrukcja „jak makiem zasiał”. Powstanie tej konstrukcji mogło ułatwić skojarzenie maku z ciszą snu, bo jak wiadomo, mak zawiera opium i uchodzi za roślinę wywołującą senność. Drugi zwrot zakwestionowany przez korespondenta: „iść po najmniejszej linii oporu” jest oczywiście niepoprawny. Ma sens tylko — językowy, nie życiowy, „iść po linii najmniejszego oporu”.

W. D.

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO  
pod redakcją prof. dra W. Doroszewskiego

**Tom I, str. 1206, obejmuje litery A—C, zł 220,—**

**Tom II, str. 1394, obejmuje litery D—G, zł 220,—**

**Tom III, str. 1391, obejmuje litery H—K, zł 220,—**

**Tom IV, str. 1331, obejmuje litery L—N (do nić) zł 220,—**

**Tom V, str. 1265 + nlb, obejmuje lit. Nie-Ó w subskr. zł 88,—**

**Tom VI, str. 1477 + 2 nlb, obejmuje lit. P—Prę w subskr. zł 88,—**

**Tom VII, str. 1499, obejmuje lit. Pri—R w subskr. zł 88,—**

**Tom VIII, str. 1370, obejmuje lit. S—S w subskr. zł 88,—**

**Słownik opracowany jest przez zespół redakcyjny pod kierunkiem prof. dra Witolda Doroszewskiego, członka rzecz. PAN. Przewodniczącym Komitetu Redakcyjnego jest prof. dr Witold Taszycki, członek rzecz. PAN. Po słowniku Lindego (1807—1914 r.) i Słowniku warszawskim (Karłowicza-Kryńskiego-Niedźwiedzkiego, 1900—1927 r.) jest to trzecie podstawowe opracowanie słownictwa ogólnopolskiego, będące kontynuacją najlepszych tradycji leksykografii polskiej, bogatsze wszakże od poprzednich prac o osiągnięcia wiedzy językoznawczej naszych czasów.**

**Składać się będzie z dziesięciu tomów uzupełnionych jednym tomem indeksu słowotwórczego, którego przeznaczeniem jest ukazanie budowy słowotwórczej języka polskiego. Kolejne tomy ukazywać się będą w odstępach rocznych.**

**Słownik zawiera cały zasób wyrazów mowy polskiej, które były w użyciu na przestrzeni dwóch ostatnich stuleci, jak również wyrazy nowe, powstałe współcześnie. Znaleźć w nim można wszystkie potrzebne informacje o wyrazach języka ogólnopolskiego, a więc nie tylko to, co wyraz znaczy, lecz także, jak należy tego wyrazu zużywać, jakie są najwłaściwsze jego połączenia z innymi wyrazami, uwypuklające jego treść znaczeniową i nie dopuszczające do powstawania błędnych, niejasnych, wypaczonych sformułowań.**

**Do poszczególnych wyrazów Słownik podaje formy poprawnej odmiany gramatycznej, objaśnienia różnych znaczeń danego wyrazu (definicje numerowane), charakterystyczne przykłady użycia wyrazu w każdym ze znaczeń, utarte zwroty frazeologiczne, w których wyraz ten występuje.**

**Przykładami użycia wyrazów są cytaty z dzieł znanych pisarzy ze wskazaniem autora i strony dzieła, z którego cytat zaczerpnięto.**

**W ten sposób użytkownik Słownika uzyskuje jasny, udokumentowany obraz historycznego rozwoju znaczenia i stylistycznego użycia wyrazu.**

**Słownik będzie dziełem niezbędnym dla każdego, kto dba o czystość, bogactwo mowy ojczystej, kto rozwija swą wiedzę, dąży do podniesienia swych kwalifikacji w pracy biurowej, redakcyjnej, pedagogicznej, naukowej i innej. Powinien znaleźć się w każdej bibliotece, w domach studentów i nauczycieli, działaczy oświatowych i naukowców, pracowników biur i urzędów i wszystkich miłośników języka.**

**PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE**

**WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA PT.  
„PORADNIK JĘZYKOWY”**

Cena prenumeraty rocznej z 60,— półrocznej zł 30,—

Zamówienia i wpłaty przyjmują:

1. **Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO nr 1-6-100.020.**
2. **Oddziały i Delegatury „Ruchu”.**
3. **Urzędy pocztowe i listonosze.**
4. **Księgarnie „Dom Książki”.**

Zamówienia przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zamówienia dla zagranicy przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, Wronia 23 (tel. 20-46-88) konto PKO nr 1-6-100.024. Koszt prenumeraty ze zleceniem wysyłki za granicę jest o 40% wyższy.

Wszystkie instytucje państwowe i społeczne zamawiają wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „Ruch”.

Czasopismo Poradnik Językowy można nabywać we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych PAN — Ossolineum — PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki (wysoki parter) oraz w następujących księgarniach naukowych PP Domu Książki:

Białystok, ul. Lipowa 43 Olsztyn, Plac Wolności 3/3

Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka Opole, Rynek 19/20

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIA REGULARNE OTRZYMYWANIE CZASOPISMA

1. K. Nitsch: Wybór Pism Polonistycznych. T. IV, Wrocław 1958, s. 87. [↑](#footnote-ref-1)
2. Op. cit., s. 270. [↑](#footnote-ref-2)
3. Op. cit., s. 399. [↑](#footnote-ref-3)
4. W. Taszycki: Rozprawy i Studia Polonistyczne. T. II, Wrocław 1961, s. 166—188. [↑](#footnote-ref-4)
5. S. Pastuszeńko: Mazowieckie (i ruskie) cechy dialektyczne między dolną Wisłoką a dolnym Sanem. Lud Słowiański. T. IA, Kraków 1929—1930, s. 139—168. [↑](#footnote-ref-5)
6. J. Łoś: Pochodzenie Polskiego języka literackiego. Język Polski, III, 1916. [↑](#footnote-ref-6)
7. S. Szober: Pochodzenie i rozwój polskiego języka literackiego. Wybór Pism. Warszawa 1959, s. 91. [↑](#footnote-ref-7)
8. F. Persowski: Studia nad pograniczem polsko-ruskim w X-XI wieku. Wrocław 1962. [↑](#footnote-ref-8)
9. J. Natanson-Leski: Zarys granic i podziałów Polski najstarszej. Wrocław 1953, s. 88. [↑](#footnote-ref-9)
10. F. Persowski, op. cit., s. 110. [↑](#footnote-ref-10)
11. S. M. Kuczyński: Wschodnia granica państwa polskiego w X w. Początki Państwa Polskiego. T. I, Poznań 1962, s. 232. [↑](#footnote-ref-11)
12. S. Arnold: Terytoria plemienne w ustroju administracyjnym Polski Piastowskiej. Wiek XII—XIII: Prace Komisji dla Atlasu Historycznego Polski zeszyt II, PAU 19227 oraz „Podziały administracyjne województwa sandomierskiego” „Pamiętnik Świętokrzyski” 1930 r. gdzie czytamy: „Te obszary nazywam ziemiami zgodnie z terminologią jaka występuje w naszych źródłach w. XIII (territorium, terra) i upatruję w nich ślady dawnych terytoriów plemiennych, jakie istniały niegdyś na naszych ziemiach” s. 58. [↑](#footnote-ref-12)
13. Z. Wojciechowski: O ustroju szczepowym ziem polskich. Uwagi krytyczne. SO (1928), s. 1—62. [↑](#footnote-ref-13)
14. S. Arnold: Podziały administracyjne .... s. 59. [↑](#footnote-ref-14)
15. S. Arnold: op. cit., s. 59/60. [↑](#footnote-ref-15)
16. S. Arnold: op. cit., s. 59. [↑](#footnote-ref-16)
17. S. M. Kuczyński: op. cit., s. 232. [↑](#footnote-ref-17)
18. S. M. Kuczyński: op. cit., s. 232. [↑](#footnote-ref-18)
19. J. Natanson-Leski: op. cit., s. 147. [↑](#footnote-ref-19)
20. S. M. Kuczyński: op. cit., s. 234. [↑](#footnote-ref-20)
21. J. Natanson-Leski: op. cit., s. 207. [↑](#footnote-ref-21)
22. T. Ladenberger: Zaludnienie Polski na początku panowania Kazimierza Wielkiego (z mapą). Lwów 1930. [↑](#footnote-ref-22)
23. M. Dobrowolska: Osadnictwo Puszczy Sandomierskiej między Wisłą i Sanem. Kraków 1931 oraz Przemiany środowiska geograficznego Polski. Warszawa 1961. [↑](#footnote-ref-23)
24. por. F. Persowski: op. cit. mapa oraz M. Dobrowolska: Przemiany .... s. 122. [↑](#footnote-ref-24)
25. Por. J. Wojtowicz: Jeszcze o przejściu w -k. Język Polski XLIII, 1—2, s. 83. [↑](#footnote-ref-25)
26. Por. J. Wojtowicz: Charakterystyka fonetyczna gwar między Wisłą, Sanem, Wisłokiem i Wisłoką. Wrocław 1966, s. 105—106. [↑](#footnote-ref-26)
27. Por. J. Wojtowicz: O cechach mazowieckich w gwarach między Wisłą i Sanem. Poradnik Językowy 1965, z. 9. (Zagadnienia ekspansji gwar mazowieckich na Małopolskę zajmę się w obszerniejszej pracy). [↑](#footnote-ref-27)
28. Op. cit., s. 402. [↑](#footnote-ref-28)
29. Język Polski 1921, nr 2 (wg informacji podanej w tymże numerze J.P. w zjeździe gramatyków, który odbył się w Krakowie w 1921 r., wzięli m.in. udział: J. Łoś, Z. Klemensiewicz, K. Nitsch, J. Rozwadowski, I. Stein i S. Szober). [↑](#footnote-ref-29)
30. Pierwsze wydanie programu gimnazjalnego („Program naukowy szkoły średniej”. Warszawa 1919) nie zawierało jeszcze w ogóle dokładnego wykazu materiału nauczania. W wydaniach późniejszych (ostatnie w 1931 r.) materiał z działu nauki o języku pozostał bez zmian. [↑](#footnote-ref-30)
31. Wskazówki metodyczne do programu gimnazjum państwowego. Język polski (gimnazjum wyższe). Warszawa 1923 (napisał prof. dr Konstanty Wojciechowski z udziałem prof. dra Stanisława Szobera oraz dra Bogdana Nawroczyńskiego). [↑](#footnote-ref-31)
32. Ibid. s. 293—294. [↑](#footnote-ref-32)
33. Ibid. s. 335—336. [↑](#footnote-ref-33)
34. Język Polski, 1924, nr 4 i 5. [↑](#footnote-ref-34)
35. Język Polski, 1926, nr 1. [↑](#footnote-ref-35)
36. Program nauki w gimnazjach państwowych z polskim językiem nauczania (tymczasowy). Lwów 1934. [↑](#footnote-ref-36)
37. Ibid. [↑](#footnote-ref-37)
38. Z. Klemensiewicz: Język Polski. Wybór wiadomości o znaczeniu i użyciu form językowych oraz o gwarach ludowych dla IV kl. gimnazjalnej. Warszawa 1937. [↑](#footnote-ref-38)
39. Program nauki w państwowym liceum ogólnokształcącym. Język Polski, Lwów

    1937. [↑](#footnote-ref-39)
40. **Z. Klemensiewicz: Dydaktyka nauki o języku ojczystym. Lwów-Warszawa 1929.** [↑](#footnote-ref-40)
41. **Program nauki w gimnazjach państwowych z polskim językiem nauczania. Lwów 1937.** [↑](#footnote-ref-41)
42. **W. Doroszewski: Myśli i uwagi o języku polskim. Warszawa 1937, s. 28—29.** [↑](#footnote-ref-42)
43. **Z. Klemensiewicz: Dydaktyka nauki o języku ojczystym. Lwów-Warszawa 1929, s. 99—100.** [↑](#footnote-ref-43)
44. Wprowadzenie tych tematów do programu szkoły średniej wiąże się z pracą W. Doroszewskiego: „Kryteria poprawności językowej”. Warszawa 1950 oraz ze zbiorem artykułów tegoż autora zamieszczonych w „Rozmowach o języku”. Seria I. Warszawa 1948. [↑](#footnote-ref-44)
45. S. Skorupka: Język polski. Wiadomości i ćwiczenia z zakresu słownictwa, frazeologii i stylistyki. Wyd. 1. Warszawa 1957.

    S. Jodłowski, S. Rospond, B. Wieczorkiewicz: Język ojczysty. Wiadomości i ćwiczenia z zakresu historii i kultury języka. Wyd. 1. Warszawa 1956. [↑](#footnote-ref-45)
46. **W programie z 1950 r. wystąpił m.in. temat „Język klas i środowisk”, nawiązujący do teorii J. Marra.** [↑](#footnote-ref-46)
47. **Warszawa 1955, PZWS.** [↑](#footnote-ref-47)
48. **J. Tokarski: Fonetyka i teoria pisma w nauczaniu szkolnym. Polonistyka, 1957, nr 1**

    **— Koniugacja w nauczaniu gramatyki. Polonistyka, 1959, nr 2, 4.** [↑](#footnote-ref-48)
49. **Por. J. Bruner: Proces kształcenia. Warszawa 1964.** [↑](#footnote-ref-49)
50. Badania nad organizacją pracy uczniów na lekcjach języka polskiego prowadził Instytut Pedagogiki, jednakże dotyczyły one głównie szkoły podstawowej. Por. M. Jaworski: Organizacja pracy uczniów na lekcjach gramatyki w szkole ogólnokształcącej (kl. V—VIII). Rocznik Instytutu Pedagogiki nr VII. Warszawa 1964.

    *Michał Jaworski* [↑](#footnote-ref-50)
51. S. Rospond: Ze studiów nad polską toponomastyką. IX. Gniezno. „Język Polski”, XLI (1961), s. 331—342; tenże: Pochodzenie nazwy Gniezno, Dzieje Gniezna. Warszawa 1965, s. 70—80. [↑](#footnote-ref-51)
52. Por. Z. Stiebier: Historyczna i współczesna fonologia języka polskiego. Warszawa 1966, s. 75. [↑](#footnote-ref-52)
53. J. Kuryłowicz: L’accentuation des langues indo-européennes. Kraków 1952, s. 357, 421. [↑](#footnote-ref-53)
54. F. Kurschat: Grammatik der litauischen Sprache. Halle 1876, s. 391, 393. [↑](#footnote-ref-54)
55. J. Otrębski: Gramatyka języka litewskiego. T. III, Warszawa 1956, s. 318—9. [↑](#footnote-ref-55)
56. J. Kuryłowicz: L’apophonie en indo-européen. Wrocław 1956, s. 302. [↑](#footnote-ref-56)
57. E. Berneker: Slavisches etymologisches Wörterbuch. Heidelberg 1908, s. 311 (pod gnetg, gnesti). [↑](#footnote-ref-57)
58. F. Sławski: Słownik etymologiczny języka polskiego. Kraków t. I, s. 304 (gniew pod gn). [↑](#footnote-ref-58)
59. M. Vasmer: Russiches etymologisches Wörterbuch (Etimologiceskij slovart russkogo jazyka). Moskwa 1964, t. I, s. 421. [↑](#footnote-ref-59)
60. Tamże, s. 420. [↑](#footnote-ref-60)
61. S. Rospond, op. cit... s., 340 [↑](#footnote-ref-61)
62. A. Walde, J. Pokorny: Vergleichendes Wörterbuch der indogermanischen Sprachen. Berlin-Leipzig 1927—1932, t. II, s. 485—6. [↑](#footnote-ref-62)
63. Por. A. Walde: Lateinisches etymologisches Wörterbuch. Heidelberg 1910, s. 518, podaje, że Hirt listownie przypuścił słowiańską postać \*gnoizdo, \*gnizdo, odrzucając \*ni-sed. [↑](#footnote-ref-63)
64. R. Nachtigal: Slovanski jezici. Ljubljana 1938, s. 25. [↑](#footnote-ref-64)
65. S. Mladenov, w: Prace lingwistyczne ofiarowane J. Baudouinowi de Courtenay. Kraków 1921, s. 23. [↑](#footnote-ref-65)
66. Por. wzmianki o tym w: E. Berneker: op. cit., s. 313; M. Vasmer: op. cit., s. 420; F. Sławski: op. cit., s. 302. [↑](#footnote-ref-66)
67. S. Rospond: Z badań... s. 341. [↑](#footnote-ref-67)
68. W. Doroszewski: O kulturę słowa. S. 686 — 7. [↑](#footnote-ref-68)
69. „Aslawizm”. Poradnik Językowy, 1960, z. 3. [↑](#footnote-ref-69)
70. S. Urbańczyk: Przedmowa do I wydania.

    *Teresa Hołówka* [↑](#footnote-ref-70)